JÓZEF CONRAD

UŚMIECH SZCZĘŚCIA

Od p. Mroci -

POLSKI DOM WYDAWNICZY
ITALY 1946

Przekład J. LEMANSKIEGO

Okładkę proj. ST. METELSKI

Odbito czcionkami drukarni

Arti Grafiche Onorati, Via Sforza Pallavicini 12-14 Tel. 51.024 - Roma

UŚMIECH SZCZĘŚCIA

Już od samego wschodu słońca stałem, zapatrzony w dal. Okręt cicho sunął po gładkiej wodzie. Pilno mi było po sześćdziesięciodniowej podróży wylądować na tej urodzajnej i pięknej wyspie podzwrotnikowej. Entuzjastyczniejsi z jej mieszkańców mówią o niej z upodobaniem, jako o „Perle Oceanu". Owszem nazywajmy ją „Perłą". To dobre imię. Perła, z której sączy się na świat dużo słodyczy.

Chcę wam tylko przez to powiedzieć, że rośnie tam najprzedniejsza trzcina cukrowa. Dla niej i z niej żyje cała ludność tej Perły. Cukier jest dla niej, że się tak wyrażę, chlebem powszednim. I ja przybywałem tutaj po ładunek cukru, w nadziei, że krescencja się udała i że frachty będą pokaźne.

Burns, mój starszy oficer, rozpoznał ląd najpierwej, i niebawem zachwyciła mnie błękitna, strzelista jego zjawa, nieomal przezrocza na tle samych niebios, czysta emanacja, ciało astralne jakiejś wyspy, powstające zdaleka na moje powitanie. Rzadki to fenomen — widok owej Perły z odległości mil sześćdziesięciu. Czyżby do-

prawdy miało mnie spotkać na tej wyspie coś tak wyjątkowo szczęsnego, jak ta przepiękna, rozmarzająca wizja, którą tylko niewielu żeglarzom, wybrańcom, zdarzyło się ujrzeć.

Lecz z radosnem uczuciem, żem odbył kurs, łączyła się okropna myśl o interesach. Niepokoiłem się o skuteczne ich załatwienie i chciałem też usprawiedliwić pochlebną szerokość danych mi przez mego armatora zleceń, ujętych w szlachetną formułę: „Pozostawiamy panu użycie okrętu tak, jak pan to uzna za najlepsze"... W ten sposób cały świat był mi oddany na widownię dla wykazania moich zdolności, które jednak nie wydawały mi się większemi, od łebka szpilki.

Tymczasem wiatr ustał, i Burns, zaczął robić nieprzyjemne uwagi o moim zwykłym braku szczęścia. Widać, że jego oddanie dla mnie pobudza go do krytycznych dogadywań przy każdej sposobności. Nie traktowałbym wszakże pobłażliwie jego humorów, gdyby nie ta okoliczność fatalna, że onego czasu pielęgnowałem go w rozpaczliwej morskiej chorobie. Wydarłszy go, że tak powiem, z objęć śmierci, byłoby mi głupio wyrzucać tak sprawnego oficera. Ale czasami pragnąłem, żeby się podał sam do dymisji.

Za późno było na lądowanie, i musieliśmy kotwicować za przystanią do jutra. Nastała noc przykra i bez wypoczynku. Nie znając tej obcej dla nas obu rejdy, i Burns i ja przebywaliśmy nieomal cały czas na po-

kładzie. Skręty chmur staczały się z porfirowych skał, u podnóża których leżeliśmy. Zerwał się wiatr i huczał wśród obnażonych rej, wydając srogi poryk z przygrywką żałosnych jęczeń. Szczęście to dla nas, żeśmy zdążyli spuścić kotwicę przed zapadnięciem zmroku — powiadam. Mielibyśmy paskudną, trwożną noc, kołacząc się pod żaglami za portem. Ale mój starszy oficer nie był tem przejednany.

— Pan nazywa to szczęściem, proszę pana! Tak — nasze zwykłe szczęście. Ten rodzaj szczęścia nie ma już Bogu dzięki, od siebie gorszego.

Tak burczał wśród tych czarnych godzin, ja zaś przeżuwałem mój zasób filozofji. Ach, ależ była to jątrząca, mozolna, nie kończąca noc — ten postój na kotwicy tuż u owego ciemnego wybrzeża. Naokoło okrętu słychać było warkot wzburzonej wody. Od czasu do czasu dzika dma wichury z jakiegoś skalnego żlebu u górach wyszarpywała z lin naszego takelunku rozdzierająco płaczliwy ton, jakby zawodzenie potępieńczej duszy.

I

O godzinie wpół do ósmej rano, gdy wreszcie okręt zawinął do portu i gdy przycumowano go na odległości jednego rzutu kamieniem z wybrzeża, mój zapas filozoficznego spokoju prawie już się wyczerpał. Spie-

szyłem się nagwałt z ubraniem, gdy steward wlazł mi do kajuty, niosąc w ręku mój poranny garnitur.

Byłem głodny, strudzony, przygnębiony, wplątany głową w świeżą koszulę, której zbytek krochmalu nadał irytującą sztywność. Zgrzytnąłem, żeby się co tchu zjawił ze śniadaniem. Chciałem co prędzej być na brzegu.

— Rozkaz, panie kapitanie. Gotowe na ósmą, panie kapitanie. Tam oczekuje jeden z lądu i życzy sobie rozmówić się, panie kapitanie.

Zaciekawiła mnie ta niezdarnie wyrecytowana wiadomość. Nagwałt szarpnąłem koszulą i wynurzyłem głowę z wytrzeszczonemi oczyma.

— Tak rano! — wrzasnąłem: — Co za jeden? Czego chce?

Przybywając z morza na ląd, człowiek musi podejmować egzystencję w nadzwyczaj nieunormowanych stosunkach. Najdrobniejszy wypadek narazie uderza nowością. Tak wczesna wizyta to wielka niespodzianka dla mnie; lecz nie mogłem zrozumieć, dlaczego mój steward miał aż tak wyjątkowo zakłopotaną minę.

— Czy nie spytałeś o nazwisko? — indagowałem surowym tonem:

— Nazwisko... acobus, zdaje się — bąkał zawstydzony.

— Pan Jacobus! — zawołałem, bardziej niż kiedykolwiek zdziwiony, ale już w całkiem innym humo-

rze. — Dlaczego nie powiedziałeś mi tego odrazu?

Lecz ten gamoń już się wymknął. Przez otwarte na chwilę drzwi mignęła mi wysoka, dorodna postać mężczyzny, stojącego w kabinie bufetowej, przy stole, na którym już leżał obrus — obrus „portowy", nieskazitelnie czysty i olśniewająco biały. Jak dotąd — wszystko w porządku.

Poprzez zamknięte drzwi krzyknąłem uprzejmie, że ubieram się i że za chwilę będę mu służył. W odpowiedzi doleciało mnie zapewnienie gościa, wypowiedziane niskim, spokojnym półgłosem, że niema się co spieszyć. Jego czas należy do mnie. Ośmiela się przypuszczać, że niebawem poczęstuję go szklanką herbaty.

— Obawiam się, że będziesz pan miał skąpe śniadanie — krzyczałem usprawiedliwiająco. — Byliśmy sześćdziesiąt dni na morzu, wie pan.

— Doskonale, kapitanie — odrzekł mi na to łagodnym, śmiejącym się tonem. Te wyrazy, to brzmienie głosu, ten przelotnie ujrzany zarys pana w bufecie: wszystko to miało cechę jakiejś niespodzianki, tchnęło czemś zacisznie spokojnie, pomyślnem. Niemniej jednak nie mogłem jeszcze ochłonąć ze zdziwienia. Czyżby to miało oznaczać jakiś czarny zamach na moją naiwność kupiecką?

Ach, że też te sprawy handlowe muszą psuć najpiękniejsze życie pod słońcem! Dlaczego morze służyć

ma tylko na użytek handlu — jak również i wojny? Poco na niem zabijać i kupczyć dla samolubnych celów, tak w gruncie rzeczy małoważnych. Byłoby daleko piękniej żeglować ot tak sobie do tej lub owej przystani z kawałkiem lądu dla rozprostowania nóg, dla nabycia paru książek i dla chwilowego odświeżenia kuchni. Lecz żyjąc w tym świecie mniej lub więcej zabójczym i rozpaczliwie handlarskim, jest oczywiście moim obowiązkiem jak najzręczniej to wyzyskać.

List mego armatora, jak już powiedziałem, zostawiał memu uznaniu rozporządzenie się okrętem w sposób, jaki będę uważał za najlepszy. Lecz w liście tym było postscriptum mniej więcej w takich słowach:

„Bynajmniej nie chcąc uszczuplać Pańskiej swobody działania, piszemy przez odchodzący pocztowiec do kilku naszych przyjaciół handlowych, którzy tam mogą Panu być w czemś pomocni. Zwłaszcza życzylibyśmy sobie, aby Pan zgłosił się do p. Jacobusa, znacznego kupca i przedsiębiorcy. Jeżeli Pan się z nim zetknie, potrafi on zapewne dać Panu wskazówki co do zyskownego zatrudnienia okrętu".

Zetknąć się z nim! Faktem jest, że znaczna ta osobistość była tu, na pokładzie, prosząc o szklankę herbaty. A ponieważ życie nie jest baśnią, zastanowiło mnie nieprawdopodobieństwo tego zdarzenia. Czyżbym odkrył czarodziejski jakiś zakątek ziemi, gdzie bogaci kupcy śpieszą co sił na pokład okrętu, wprzód jeszcze,

zanim go na dobre przycumowano? Byłaż to biała magja, czy może tylko jaki czarny podstęp, używany w kupiectwie? Nasunęło mi się wkońcu podejrzenie (gdym zawiązywał krawat), żem się przesłyszał co do nazwiska. Myślałem często o znakomitym panu Jacobusie podczas kursu, i może słuch mój został oszukany jakiemś dalekiem podobieństwem brzmienia... Steward mógł był powiedzieć Antrobus — lub może Jackson.

Lecz gdym wyszedł ze swego gabinetu z urzędowo pytającem „Pan Jacobus?", spotkało mnie w odpowiedzi spokojne „Tak", wypowiedziane z łagodnym uśmiechem. To „Tak" było rzucone jakby od niechcenia. Widać nie robił sobie wiele z faktu, że to on właśnie jest panem Jacobusem. Przyjąłem do wiadomości jego rysopis: duża, bladawa twarz, rzadkie włosy na czubku głowy, tak samo rzadkie bokobrody o jakimś wyblakłym, nieokreślonym kolorze, ciężkie powieki. Grube, dobrotliwe wargi, o ile ich nie otwierał, robiły wrażenie jakby sklejonych. Mdły uśmiech. Powolny, cichy człowiek. Wymieniłem nazwiska dwu moich oficerów, którzy właśnie zeszli na śniadanie. Czemu jednak milcząca postawa Burnsa jakby zaakcentowywała hamowane oburzenie, nie mogłem zrozumieć.

Gdyśmy siadali naokoło stołu, doleciały mych uszu oderwane wyrazy jakiejś sprzeczki na schodach. Ktoś obcy najwidoczniej chciał zejść, by rozmówić się ze mną, a steward sprzeciwiał się temu.

— Pan nie może się z nim widzieć.

— Dlaczego *ja* nie mogę?

— Kapitan zajęty śniadaniem, mówię panu. Zaraz udaje się na ląd, i może się pan zwrócić do niego na pokładzie.

— To nieładnie! Pan wpuszczasz — —

— To nie moja rzecz.

— O tak, pańska. Każdy powinien mieć takie szanse. Pan wpuściłeś tam tego jegomości — —

Reszty nie dosłyszałem. Uskuteczniwszy zwycięsko odparcie owej osoby, steward zeszedł do nas. Nie mogę powiedzieć, że miał rumieńce — był to mulat — lecz wyglądał na podchmielonego. Podawał półmiski i stał przy kredensie z miną speszonej obojętności, którą zwykł był przybierać, kiedy coś przemędrkował i bał się wskutek tego wpaść w tarapaty. Pogardliwy wyraz, z jakim Burns wodził oczyma od niego ku mnie, był nadzwyczajny. Co ukąsiło znów mego starszego oficera, nie mogłem się domyśleć.

Gdy milczy kapitan, nikt nie zabiera głosu: jest to zwyczaj, przyjęty na okrętach. A ja nie odzywałem się poprostu dlatego, że oniemiałem wobec wspaniałości przyjęcia. Przygotowany zastać zwykłe morskie śniadanie, ujrzałem ucztę, składającą się z lądowych prowiantów: jaj, kiełbas, masła, najwyraźniej pochodzącego nie z duńskiej puszki, kotletów baranich i nawet z półmiska ziemniaków. Od trzech tygodni nie

oglądałem prawdziwego, żywego kartofla. Przypatrywałem im się z zajęciem, a pan Jacobus objawiał mi się jako człowiek ludzki, domator i nawet cokolwiek odgadywacz myśli.

— Skosztujno pan ich, panie kapitanie — zachęcał mię przyjaznym półgłosem: — wyborne.

— Wyglądają na to — przyznałem. — Rosną na tej wyspie, przypuszczam.

— O, nie, sprowadzone. Gdyby tu rosły, byłyby kosztowniejsze.

Martwiła mnie ta głupia rozmowa. Byłyż to dyskusyjne kwestje dla znacznego i bogatego kupca? Znajdowałem, że prostota, z jaką się u mnie rozgościł, miała w sobie coś pociągającego. Ale o czem tu mówić z człowiekiem, niespodzianie do nas przychodzącym po sześćdziesięciu i jednym dniu podróży morskiej, z jakiejś całkiem nieznanej wam mieściny na wyspie, której się nigdy przedtem nie widziało? Jakież (poza cukrem) były kwestje palące tej okruszyny ziemi, jej plotki, jej tematy konwersacyjne? Wciągnąć go odrazu do rozmowy o interesach byłoby prawie nieprzyzwoicie, lub nawet gorzej: niepolitycznie. Wszystko, co narazie mogłem zrobić, to było trzymanie się starego, wyżłobionego korytka.

— Czy tu drogi prowjant naogół? — spytałem, bolejąc wewnętrznie nad jałowością swych myśli.

— Tegobym nie powiedział — odrzekł spokojnie, w

ten swój powściągliwy sposób, jak gdyby oszczędzający tchu i uchylający się od mówienia pod sugestją.

Nie chciałby się wypowiadać jaśnie ale nie wykręcał się przedmiotu rozmowy. Spoglądając na stół z intencją zupełnej wstrzemięźliwości (nie chciał nic jeść, choć go częstowałem), wszedł w detale co do artykułów spożywczych. Wołowinę sprowadza się po większej części z Madagaskaru; baranina, oczywiście, rzadka i cokolwiek za droga, lecz dobre jest mięso koźle.

— Czy to z koźlego mięsa te kotlety? — zawołałem czem prędzej, wskazując na jeden z półmisków.

Stojący u kredensu w sentymentalnej pozie, steward zrobił nagły ruch.

— Nie, proszę pana, dalibóg, to prawdziwa baranina!

Burns, załatwiwszy czynność śniadaniową z oznakami zniecierpliwienia, jak gdyby zrozpaczony swym przymusowym udziałem w jakiemś potwornem błazeństwie, wymamrotał krótką formułę przeproszenia i wyszedł na pokład. Wkrótce potem drugi oficer usunął z kajuty swą gładką, czerwoną fizjognomję. Z apetytem sztubaka, jako że był po dwu miesiącach kuchni morskiej, oddał on cześć temu bankietowi. Ale ja — nie. Trącała ta uczta jakimś wybrykiem. Lecz w każdym razie było czynem godnym uwagi to tak szybkie jej wystawienie. Winszowałem stewardowi jego

zręczności tonem cokolwiek złowróżbnym. Uśmiechnął się błagalnie i czarnemi, przebiegłemi oczyma błysnął w kierunku gościa w sposób jakiś taki, że nie wiedziałem co o tem myśleć.

Gość szeptem poprosił o drugą filiżankę herbaty i ascetycznie ogryzał kawałek twardego, morskiego suchara. Nie wiem, czy ostatecznie spożył go choć cal kwadratowy, lecz tymczasem, jakgdyby niechcący, dał mi pełne obliczenie stanu żniw cukrowych, tutejszych domów handlowych i frachtowego rynku. Cała ta gawęda była przesiana napomknieniami co do osób, równającemi się niedomówionym przestrogom, ale jego blada, mięsista twarz zachowywała jednostajny bez błysku wyraz, jakgdyby nie poczuwała się do łączności ze swoim głosem. Możecie sobie wyobrazić, jak nastawiałem uszu. Każde słowo było cenne. Mój pogląd na wartość przyjaźni handlowej uległ zmianie na jej korzyść. Podał mi nazwy wszystkich gotowych do najęcia okrętów, wraz z oznaczeniem ich pojemności i z nazwiskami komendantów. Od tego, co stanowiło jeszcze informację handlową, zeszedł na plotki portowe. *Hilda* w sposób niewytłumaczony zgubiła swe popiersie w zatoce bengalskiej, i kapitan jej niezmiernie jest tą stratą przejęty. On i okręt podeszli w lata razem, i stary gentleman wyobraził sobie, że ten dziwny wypadek jest zwiastunem jego własnego rozpadnięcia się. *Stella* doświadczyła okropnej pogody koło przylądka:

woda zalała pokład i zmyła za burtę starszego oficera. Zaledwie na kilka godzin przed zawinięciem do portu zmarło dziecko. Rodzice: biedny kapitan H — — i żona jego byli złamani. Gdyby zdążyli byli przywieźć je do portu za życia, to prawdopodobnie można by je było uratować; lecz przez ostatni coś tydzień nie mieli wiatru... Lekkie wietrzyki... i dziecko mają chować dziś popołudniu. Przypuszcza, że będę na pogrzebie. — — —

Wzdrygnąłem się.

— Czy uważa pan to za moją powinność? — spytałem.

Uważał stanowczo, że tak. Będzie to przyjęte z wielkiem uznaniem. Wszyscy kapitanowie w przystani wezmą udział. Biedny pan H — — całkiem zwalony z nóg. Dostatecznie ciężki cios dla H — — w ogólności.

— A pan, panie kapitanie — przypuszczam, że pan nieżonaty?

— Nie, nie jestem żonaty — odpowiedziałem: — ani żonaty, ani nawet zaręczony.

W duchu dziękowałem swym gwiazdom i, podczas gdy on uśmiechał się w zamyśleniu, jak gdyby coś sobie przypominając, wyraziłem mu wdzięczność za wizytę i za ciekawe informacje handlowe, których mi był łaskaw udzielić, lecz nie uważałem za potrzebne oświadczać mu, z jakiem zdumieniem je przyjąłem.

— Oczywiście, rzecz postanowiona, że będę u pana w tych dniach bezwarunkowo — zakończyłem.

Spojrzał ku mnie z pod wzniesionych powiek, niby wyraziście, ale raczej jakby usiłując przybrać wyraz jeszcze senniejszy niż przedtem.

— Stosownie do zleceń mego armatora — dodałem wyjaśniająco.— Jego list otrzymał pan niezawodnie?

Tym razem, prócz wzniesienia powiek, podniósł w dodatku brwi, lecz bez żadnego szczególnego objawu uczuć. Przeciwnie, uderzyła mnie wtedy jego zupełna niewzruszoność.

— A! Zapewne pan ma na myśli mego brata.

Teraz ja miałem powiedzieć „A!" Lecz w moim głosie, ufam, nie było nic więcej ponad grzeczne zdziwienie, gdy zapytałem, czemu więc zawdzięczam przyjemność...

Sięgnął powolnie do bocznej kieszeni.

— Mój brat to wcale inna osoba. Ale mnie tu dobrze znają w tej części świata. Słyszał pan zapewne.

Wziąłem podaną mi kartę. Gruba handlowa karta, na miły Bóg! Alfred Jacobus — tamten był Ernest — kupiec w zakresie wszelkiego rodzaju okrętowej aprowizacji! Prowiant solony i świeży, oleje i farby, powrozy, żagle etc. etc. Zawiera umowy na dostawę żywności okrętom po cenach umiarkowanych.

— Nigdy nie słyszałem o panu — rzekłem porywczo.

Właściwa mu ślamazarna niewzruszoność nie opuściła go.

— Będzie pan zadowolony — wyziewnął spokojnie.

Ale mnie to nie uspokoiło. Wyczuwałem tu coś, jakby podejście. Jednak oszukiwałem się sam — jeśli wogóle było tu jakie oszukaństwo. Lecz znów do kaduka, ta czelność w zaproszeniu mnie na śniadanie zwiodłaby każdego. I raptem uderzyła mnie myśl: przecież sprowadzenie tych wszystkich artykułów spożywczych jest sobie dla tego jegomości metodą kupiecką. Rzekłem.

— Musiał pan dziś wstać nader wcześnie.

Przyznał się z prostotą, że był na wybrzeżu przed godziną szóstą, oczekując na wejście mego okrętu do przystani. Czułem teraz, że nie odczepię się od niego w żaden sposób.

— Jeśli pan myśli, że będziemy żyli na tej stopie — rzekłem, obrzucając stół gniewnem spojrzeniem, — to pan się grubo myli.

— Będzie wszystko w porządku, kapitanie. Ja to doskonale rozumiem.

Nic nie mogło wytrącić go z równowagi. Byłem niezadowolony, lecz nie mogłem się bardzo na niego ciskać. Udzielił mi sporo wiadomości pożytecznych — i oprócz tego był bratem owego bogatego kupca. Wyglądało to dość osobliwie.

Wstałem od stołu i krótko, a węzłowato powie-

działem, że teraz muszę udać się na brzeg. W tej chwili zaofiarował mi korzystanie ze swej łódki na cały czas mojego pobytu w porcie. — Używam jej tylko nominalnie. Mój człowiek cały dzień jest przy schodkach na ląd. Wystarczy dać gwizdek w razie, gdyby panu potrzebne było czółno.

I zatrzymując się przed każdemi drzwiami, by mnie puścić przodem, w rezultacie uprowadzał mnie pod swoją strażą. Gdyśmy przechodzili pomost, jacyś dwaj obszarpańcy zbliżyli się i w grobowem milczeniu podali mi swe karty handlowe, które wziąłem, nic nie mówiąc, pod jego ciężkiem, z pod oka spojrzeniem. Nieużyteczna i posępna ceremonja. Byli to faktorzy innych przekupniów okrętowych, a ten cichy za mną człowiek *ignorował ich istnienie.*

Rozstaliśmy się na wybrzeżu, gdy już wyraził mi swą niezachwianą ufność, że często będzie mnie oglądał w swojej „składnicy". Ma tam dla kapitanów palarnię z gazetami i z pudełkiem „wcale znośnych cygar". Pożegnałem go dość nieetykietalnie.

Moi dostawcy przyjęli mnie ze zwykłą fachową serdecznością, lecz w ich obliczeniach stan rynku ładunkowego bynajmniej nie przedstawiał się tak korzystnie, jak ze słów tego niewłaściwego Jacobusa mogłem był oczekiwać. Naturalnie, że skłonny byłem teraz polegać raczej na jego wersji. Zamykając za sobą drzwi prywatnego oddziału biura, pomyślałem sobie:

„Hm... Stek kłamstw. Dyplomacja kupiecka. Oto jakiego rodzaju rzeczy ma się człowiek spodziewać po powrocie z morza. Chcą mi skontraktować okręt po niżej cen rynku".

W dużym zewnętrznym oddziale, zastawionym biurami, wstał od stołu i zatrzymał mnie, bawiąc uprzejmą rozmową, szef kancelarji — wysoka, szczupła, wygolona postać, w nieskazitelnie białej odzieży, z krótko ostrzyżoną czarną głową, mieniącą się tu i ówdzie srebrnym połyskiem. Niezmiernie będą uszczęśliwieni, mogąc mi czemśkolwiek wygodzić. Czy nie zajdę znów popołudniu? Co? Wybieram się na pogrzeb? O tak biedny kapitan H.

Na chwilę usympatycznił swą długą twarz wyrazem bolejącym, że robocza siła tego świata zmniejszyła się o to dziecko, które zachorowało podczas burzy i umarło, wskutek zbytniej ciszy morskiej, poczem obnażył zęby — i zapytał mnie, czy już zrobiłem jaki układzik co do bytności okrętu w porcie.

— Tak, z Jacobusem — odrzekłem obojętnie. — Wiem, że to brat pana Ernesta Jacobusa, którego mi zarekomendowali moi właściciele.

Bez wielkiego zmartwienia dałem mu uczuć, że nie jestem całkowicie zdany na łaskę i niełaskę jego firmy. Zacisnął wąskie usta z wyrazem powątpiewania.

— Co? — zawołałem — czy nie jest bratem tamtego?

— O, tak... Nie mówią do siebie przez jedenaście lat — dodał po chwili znacząco.

— Doprawdy! O cóż im poszło?

— Och, o nic! O nic takiego, o czemby warto wspominać — rzekł z przesadnym protestem. — Ma dość znaczne przedsiębiorstwo. Najlepszy dostawca tutejszy, niewątpliwie. Interes, niema co mówić, zupełnie porządny, ale tu ważną rzeczą jest charakter osobisty, czyż nie? Sługa, panie kapitanie.

Drobnym kroczkiem odszedł do swego pulpitu. Bawił mnie. Podobny był do starej panny, starej panny biuralistki, urażonej przez jakąś niestosowność. Byłaż to rzecz, którą trzeba brać na serjo, ponieważ godzi w twoją kieszeń. A może on tylko jest skrupulatem co do obyczajności i niepodoba mu się to, że Jacobus sam pełni funkcję własnego ajenta. Lecz znowu co kraj to obyczaj. W skupieniu ludzkiem, tak odosobnionem i tak wyłącznie handlowem, istnieje własna miara godeł socjalnych.

II

Byłbym chętnie skwitował ze smętnej sposobności przelotnego zapoznania się jednocześnie ze wszystkimi moimi kolegami kapitanami. Bądź co bądź jednak poszedłem na cmentarz. Stanowiliśmy pokaźną gromadkę ludzi z obnażonemi głowami i ciemno odzianych. Za-

uważyłem, że ci z nas, którzy najbardziej zbliżali się do archaicznego dziś typu wilków morskich, najwięcej byli wzruszeni — być może dlatego, że mniej mają „światowej ogłady", niż nowe pokolenie. Stary wilk morski zdala od swego naturalnego żywiołu był prostem i sentymentalnem zwierzęciem. Spostrzegłem, że jeden z nich, stojący nawprost mnie, po drugiej stronie grobu, płacze rzewnemi łzami. Sączyły mu się po zoranej od niepogód twarzy, tak jak krople deszczu po chropowatym murze. Później się dowiedziałem, że był on, jak mówiono, postrachem majtków, człowiekiem twardym; że nigdy nie miał żony ani własnego pisklęcia, i że od najmłodszych lat zatrudniony żeglugą po morskich głębinach, znał kobiety i dzieci tylko z widzenia.

Może mu żal było straconych okazyj, może tylko zazdrościł ojcostwa, z dziwnej zawiści względem bólu, którego nigdy nie mógł zaznać. Człowiek, i nawet człowiek morski, jest chimerycznem zwierzęciem, jest wytworem ominiętej sposobności i jej ofiarą. Ale on sprawił, że zawstydziłem się swej nieczułości. Nie było we mnie łez.

Z całkowicie obojętnym krytycyzmem słuchałem modlitwy pogrzebowej, którą mi raz czy dwa razy wypadło samemu odczytywać nad jakimś dzieciuchem z mej załogi, zmarłym na morzu. Słowa te, pobudzające do otuchy i brawury, te skrzydlate słowa, tak ożywcze wśród nieobjętego bezmiaru wód i niebios, tu

zdawały się padać jakby znużone w ten mały grobik. Nacóż się zdało pytać śmierci, gdzie jej żądło — tu, nad tym maleńkim, ciemnym dołkiem w ziemi? I wówczas myśli wymykały i się całkiem, biegnąc precz ku sprawom życia — niezbyt zresztą podniosłym, jako to: okręty, frachty, interesy handlowe. Człowiek pod względem niestałości uczuć ma opłakane podobieństwo do małpy. Mój wątek myślowy sprawiał mi obrzydzenie, a jednak myślałem: czy uda mi się rychło zawrzeć kontrakt?... czas — to pieniądz... czy ten Jacobus rzeczywiście nastręczy mi jaki dobry interes? ...Muszę go w tych dniach odwiedzić.

Nie sądźcie, żeby te moje myśli miały jaką ścisłość. Narzucały mi się raczej: niewyraźne, ciemne, niespokojne, zażenowane. I miały w sobie jakąś tępą, ohydną, zawziętą uporczywość. Nieinaczej tylko obecność tego namolnego kramarza okrętowego nadała im bieg. Z żałobną miną stał tam wśród naszego gronka marynarzy i gniew mnie chwytał na tę jego obecność, która, przypominając mi o jego bracie kupcu, sprawiała, żem lżył samego siebie. Gdyż w samej rzeczy cośniecoś przywoitego nastroju czułem w sobie. To tylko ta myśl, która...

Nareszcie się to skończyło. Biedny ojciec — mężczyzna lat czterdziestu, z czarnemi, kępiastemi faworytami i z żałosną blizną na świeżo ogolonym podbródku — dziękował nam wszystkim, połykając łzy. Ale czy to,

że niezdecydowany co do powrotu, ociągałem się z odejściem u bramy cmentarza, czy może to, że byłem z nich najmłodszy, lub widząc moje zasępienie, spowodowane wyrzutami sumienia, i przypisując je podnioślejszym i odpowiedniejszym chwili sentymentom, czy też poprostu dlatego, że byłem mu nawet więcej od innych obcy — mnie jednego wyróżnił. Jadąc obok dziękował mi ponownie słowami, których, zgryziony wewnętrznie, słuchałem w ponurem milczeniu. Raptem wsunął mi pod ramię rękę, a drugą zamachał w kierunku jakiejś wysokiej, słusznej postaci, która szła ulicą zdala, samotnie, w roztrzepotanem lekkiem ubraniu.

— Oto dobry chłop, rzeczywiście dobry chłop — tu przełknął spóźnione szlochanie — ten Jacobus.

I zdziwionym głosem mówił mi, że Jacobus był pierwszym człowiekiem, który po przybyciu jego okrętu zjawił się na pokładzie i, dowiedziawszy się o nieszczęściu, zajął się wszystkiem, dobrowolnie ofiarował swe usługi w zasadniczych sprawach, dostawił na brzeg papiery okrętowe, zarządził co trzeba do pogrzebu. — Dobry chłop. Ja straciłem głowę. Doglądałem żony przez dni dziesięć. A ratunku żadnego. Pomyśl pan tylko! Drogi malec umarł tego samego dnia, kiedyśmy wylądowali. W jaki sposób zdołałem wyprowadzić okręt do portu, Bóg jeden wie! Nie widziałem nic, nie mogłem mówić, nie mogłem... Słyszałeś pan niezawodnie, żeśmy w czasie tego przejazdu stracili za burtą star-

szego oficera. Nie było komu mnie wyręczyć. Biedna kobieta prawie oszalała, tam na dole sama jedna wraz z... Na Boga! To nie jest sprawiedliwość!

Szliśmy razem w milczeniu. Nie wiedziałem, jak się z nim rozstać. Na wybrzeżu puścił moje ramię i dziko uderzył pięścią w dłoń drugiej ręki.

— Na Boga, to niesprawiedliwie! — krzyknął znowu. — Nie żeń się pan nigdy, chyba, że wprzód potrafisz ugłaskać morze... o nie jest sprawiedliwość!

Nie miałem zamiaru „ugłaskiwać morza", więc gdy mnie opuścił, by udać się na pokład swego okrętu, uczułem w sobie postanowienie nieżenienia się wcale. Gdy zatrzymałem się u schodków, czekając na Jacobusowego wioślarza, który gdzieś sobie odszedł, przyłączył się do mnie kapitan Hildy, — cieniuśka w ręce parasolka jedwabna, zaostrzone kanty gladstonowskiego, staromodnego kołnierzyka, obramiające gładko ogoloną, szczupłą, rumianą twarz. Była dziwnie swieża na swój wiek, pięknie zarysowana i oświetlona przez nadzwyczaj jasne oczy niebieskie. Trocha siwych włosów, lśniących jak przędzalne szkło, kędzierzawiła się, nastroszona, pod rondem jego cennej, starej panamy, z szeroką, czarną wstążką. Patrząc na tego żywego, czyściuchnego staruszka, miało się wrażenie czegoś wykwintnie angielskiego i zarazem chłopięcego. Jak gdyby znając mnie od maleńka, jak gdyby to było zwyczajem jego życia oglądać mnie codzień, zaczepił mnie, udzielając mi zabaw-

nego spostrzeżenia o jakiejś tęgiej murzynce, która siedziała na stołku nad brzegiem tamy. Poczem zauważył uprzejmie, że mam bardzo ładniutką barkę.

Odwzajemniłem się również grzeczną, prędką odpowiedzią:

— Nie jest tak ładna, jak *Hilda.*

Natychmiast kąciki jego delikatnie wykrojonych, czułych ust opuściły się w straszny sposób.

— O mój drogi! Toż teraz ja prawie, że nie mogę znieść jej widoku.

Czyż nie jest mi wiadomo, spytał z niepokojem, że zgubił figurę swego okrętu; kobieta w niebieskim staniku o złotej obszywce, twarz nie tak znów bardzo a bardzo ładniutka, ale białe, pięknie ukształtowane i gołe ramiona, wyciągnięte, jak gdyby pływała... Czyżbym nie wiedział? Ktoby się mógł takiej rzeczy spodziewać! I to jeszcze po latach dwudziestu!

Ze sposobu, w jaki to mówił, niktby się nie domyślił, że tu chodzi o kobietę ciosaną z drzewa. Ten drżący głos, to wzruszenie nadawały jego płaczliwym żalom jakiś pociesznie zdrożny odcień... Zniknęła w nocy — czysta, pogodna noc, z takiem sobie leciutkiem wzdęciem fali — w zatoce Bengalskiej. Odeszła bez żadnego pluśnięcia; nikt na okręcie nie mógł objaśnić dlaczego, poco, o której godzinie — po dwudziestu latach, ubiegłych w tym październiku... Czy nie słyszałem o tem?...

Zapewniłem go współczująco, że wcale nie słyszałem — i pogrążył się w bolesnych rozstrząsaniach. Z pewnością nie znamionuje to nic dobrego. Było w tem jakby ostrzeżenie. Lecz gdym zrobił uwagę, że przecież można sprokurować inny wizerunek kobiety, dostało mi się porządne wymyślanie, żem to tak lekko traktował. Ślicznie wygarbowana twarz starego chłopca oblała się ponsem, tak jak gdybym mu zaproponował był coś nieprzyzwoitego. Można zastąpić maszty, powiedziano mi, lub wiosło zgubione — jakiś roboczy sprzęt okrętowy; ale co za sens przyczepiać nową figurę? Jaka satysfakcja? Czyż ktokolwiek może dbać o to? Widoczne jest, że mnie się nie zdarzyło być okrętowym towarzyszem figury przez dwadzieścia lat.

— Nowa figura! — zrzędził z niegasnącem oburzeniem: — Jakto! Więc ja, będąc wdowcem od lat dwudziestu ośmiu, dobiegających obecnie w tym maju, mam teraz właśnie co prędzej myśleć o prokurowaniu sobie nowej żony. Pan jesteś taki sam ladaco, jak i ten chłystek Jacobus.

Wysoce mię to bawiło.

— Co uczynił ten Jacobus? Czy nie namawiał pana do małżeństwa, panie kapitanie? — dopytywałem się z zajęciem. Ale jego już poniosło i tylko gniewnie zazgrzytał.

— Sprokurować! — w samej rzeczy! On jest z tego

gatunku drabów, którzy sprokurują panu wszystko, co pan chcesz za pieniądze. Nie upłynęła godzina, jak tu przycumowałem, gdy już dostał się na pokład i odrazu chciał mi sprzedać biust, który wypadkowo miał tam gdzieś w swojem podwórzu. Podbechtał Smitha, mojego starszego oficera, żeby o temże mną pomówił. „Panie Smith — powiadam — czy pan nie masz lepszego o mnie pojęcia? Czy ja jestem z tych, którzy podnoszą cudze, wyrzucone na śmietnik biusty?" I to jeszcze po tylu latach! Sposób, w jaki wyraża się niejeden z was, młodzieńców — —

Udałem wielką skruchę i, siadając w czółno, rzekłem rozważnie:

— Zatem niema tu innej rady, jak tyko przytwierdzić gryf od skrzypiec — chyba że to. Wie pan, taki snycerski, kabłąkowaty ornament, pięknie złocony.

Po tym wybuchu bardzo osowiał.

— Tak, Kabłąk. Być może. Jacobus też wspominał o tem. On zawsze się znajdzie w kropce, gdy chodzi o wyciągnięcie grosza z kieszeni żeglarskiej. Onby mi kazał zapłacić tyle za ten rzeźbiony ornament ile kosztuje cały dziób. Złocony gryf od skrzypiec, powiedziałeś pan — hm? Ośmielę się twierdzić, iż dobre to dla pana. Wy, młodzież, nie macie, jak widać, poczucia tego, co jest odpowiednie.

Zrobił kurczowy ruch prawą ręką.

— Niema się o co troszczyć. Nic już tu nie może stanowić wielkiej różnicy. Otóż właśnie jak najrychlej

puszczam staruszka w świat z gołą sztabą — jęknął posępnie. A gdy czółno odbiło już od schodków, jeszcze z komiczną zapalczywością wytężył głos na krawędzi bulwarku.

— Tak, zrobię to! Choćby jeszcze na złość tej dostarczającej tłustów pijawce. Stary ze mnie wróbel, nie zapominaj pan o tem. A którego dnia wpadnij pan do mnie na pokład!

Spędziłem pierwszy wieczór portu w swej cichej klitce okrętowej, i dość byłem rad myśli, że to strądowe życie, z jego tak rażąco małostkowym, rozstrajającym zespołem i z jego obfitością twarzy, nowych dla świeżo przybyłego z morza, nie będzie miało do mnie przystępu o kilka godzin dłużej. Ale jednak sądzone mi było jeszcze raz przed snem usłyszeć coś na nutę Jacobusa.

Burns oddalił się był po kolacji na strąd, ażeby, jak się wyraził, „rzucić na świat okiem". Ponieważ było zupełnie ciemno, gdy mi oznajmił swój zamiar, nie dopytywałem się, coby tam chciał widzieć. W jakiś czas, już pod północ, siedząc z książką w salonie, usłyszałem skradające się jego kroki i okrzyknąłem go po nazwisku.

Burns wszedł, trzymając laskę i kapelusz i wyglądając w sposób nie do uwierzenia zordynarniały przez odświętność swych szat lądowych, z miną obibruka i z ohydnem podmrugiwaniem oczu. Zaproszony — siadł,

położył laskę i kapelusz na stole, i po krótkiej chwili rozmowy o sprawach okrętowych:

— Ładnych ja się powiastek nasłuchałem w porcie o tym gagatku, kupczyku okrętowym, co tak gracko wyłudził robotę od pana, panie.

Zrobiłem uwagę swemu byłemu pacjentowi z powodu jego wyrażania się. Tylko się otrząsnął pogardliwie. Ślicznie udana sztuczka, doprawdy: zahaczyć cudzy okręt, wyprowiantować go śniadaniem w dwóch koszach dla całej załogi i najspokojniej zaprosić samego siebie do kapitańskiego stołu! Nigdy w życiu nie słyszałem o czemś tak przebiegle bezwstydnem.

Uczułem w sobie chęć obrony niezwykłych sposobów Jacobusa.

— On jest bratem jednego z najbogatszych kupców w tym porcie.

Oczy starszego oficera trysnęły pięknie zielonemi iskrami.

— Jego starszy brat nie mówił do niego przez ośmnaście czy dwanaście lat — oznajmił triumfująco: — Ot w czem rzecz!

— Wiem o tem wszystkiem — przerwałem wyniośle.

— Wie pan? Hm! — Bieg jego myśli jeszcze odbywał się w kierunku etyki handlowego współzawodnictwa. — Nie mogę patrzeć na wyzyskiwanie pańskiej dobroci. On dał temu naszemu stewardowi pię-

ciorupiowy banknot w łapę, żeby tamtego tu nie wpuszczał — lub może i więcej za taką rzecz. On o to się nie targuje. Zaraz i to — i ponadto wliczy do rachunku.

— Czy to jest jedna z tych bajd, któreś pan słyszał na strądzie? — spytałem.

Zapewnił mnie, że jego własny rozsądek mógł mu dużo o tem powiedzieć. Nie, ale o czem słyszał na brzegu, to o tem, że bodaj nikt z szanujących się osób w mieście nie zbliża się do Jacobusa. Zamieszkuje pono jakiś obszerny, staroświecki dom na jednej z cichych ulic, z wielkim ogrodem. Powiedziawszy to, Burns przybrał tajemniczy wyraz.

— Trzyma on tam w zamknięciu jakąś dziewczynę, która, jak mówią...

— Przypuszczam, że pan słyszał te wszystkie plotki w jakiem czcigodnie przyzwoitem miejscu? — przyciąłem, jak można najuszczypliwiej.

Cios trafił, ponieważ pan Burns, jak i wielu innych nieprzyjemnych ludzi, miał niesłychanie drażliwą miłość własną. Został, jakby rażony gromem, z ustami otwartemi do zakomunikowania mi jakichś dalszych pogłosek, lecz nie dałem mu już sposobności do tego.

— I wogóle, tak czy owak, co mnie to, u djabła, może obchodzić? — dorzuciłem, cofając się do swego pokoju.

—I było rzeczą naturalną, że tak powiedziałem. Ale

obojętności tej jakoś nie czułem. Dajmy nato, że zaprzątanie się moralną stroną swego handlarza okrętowego jest absurdem, chociażby ten handlarz utrzymywał z nami jak najbliższe stosunki kupieckie; lecz jego osobistość na pierwszy mój dzień w przystani nałożyła swoją pieczęć w sposób wam już wiadomy.

Po tym wstępnym, bohaterskim czynie Jacobus ukazywał się we wszelkiej innej postaci, tylko nie natręta. Dzień w dzień, od samego rana, był poza domem i w czółnie objeżdżał okręty, które kolejno obsługiwał, zatrzymując się na pokładzie jednego z nich, by przy okazji spożyć z kapitanem śniadanie. Jakoż widząc, że te usługi cieszą się ogólnem wzięciem, kiwnąłem mu głową pobłażliwiej, gdy raz, wychodząc od siebie, zastałem go w jadalni. Rzuciwszy okiem na stół, dostrzegłem, że jego miejsce było już nakryte. Stał w oczekiwaniu mego zjawienia, się, bardzo masywny i cichy, trzymając w swej grubej ręce przepiękny bukiet kwiatów. Ofiarując je z bladym, sennym uśmiechem podał, mi do wiadomości: z własnego ogrodu; ma bardzo niebrzydki stary ogród; sam je rwał dziś rano przed wyjściem za interesami; sądzi, że chciałbym... Odwrócił się. — Czy mógłbym prosić stewarda o trochę wody w obszernym dzbanku, jeżeli łaska.

— Sprawia pan — zapewniłem go żartobliwie, siadając przy stole, — że mam uczucie, jak gdybym był

jakąś wcale ładną dziewczyną, i nie powinno dziwić pana, że się rumienię.

Lecz on był zajęty układaniem swej daniny kwiatowej przy kredensie.

— Niech steward postawi to z łaski swej przy nakryciu pana kapitana, proszę.

Wypowiedział tę prośbę swym zwykłym, niskim półgłosem.

Zaofiarowanie tych kwiatów było zrobione tak finezyjnie, że nie pozostało mi nic innego, jak tylko je wąchać, gdy on, cichutko zająwszy miejsce, wyszeptał pogląd, że trochę kwiatów znakomicie uprzyjemnia wygląd okrętowego salonu. Chciałby wiedzieć, czemu nie zaprowadziłem u siebie naokoło górnego okna poprzybijanych półek pod doniczki z kwiatami, którebym z sobą brał na morze. Miałby on zręcznego rzemieślnika, któryby załatwił dopasowanie półek w ciągu jednego dnia, a on mógłby mi dostarczyć dwa lub trzy tuziny dobrych roślin.

Koniuszczki jego tłustych, okrągłych palców w niezachwianej równowadze spoczywały na krawędzi stołu po jednej stronie filiżanki z kawą i po drugiej. Z jego twarzy nie schodził wyraz niezmąconego spokoju. Burns złośliwie uśmiechał się sam do siebie. Oświadczyłem, że bynajmniej nie mam zamiaru przerabiać górnego okna na oranżerję poto jedynie, ażeby wieczną potrawą

na stole oficerskim była próchnica i obumarłe szczątki roślinne.

— Hodować tam najpiękniejsze kwiaty — nalegał, rzucając okiem ku górze. — A kłopotu z tem doprawdy niema.

— Ależ jest. Mnóstwo kłopotów — zaprzeczyłem. — Aż wreszcie, który gamoń pozostawi górne okno otwarte podczas chłodnej morki, dostaną jeden chlust słonej wody i w tydzień cała grządka już martwa.

Burns wzgardliwie parsknął na znak aprobaty. Jacobus przystał na to biernie. W czas jakiś potem rozkleiły się jego tłuste wargi, pytając, czy nie widziałem się jeszcze z jego bratem?

Odpowiedziałem krótko:

— Nie, jeszcze nie.

— To zupełnie inny człowiek — zauważył sennie i wstał. Jego ruchy miały osobliwą cichość. — No, dziękuję panu, panie kapitanie. Jeśli coś nie wypadnie według pańskich życzeń, pan będzie łaskaw nadmienić o tem stewardowi. Przypuszczam, że pan zaraz wyda obiad dla personelu biura.

— Poco? — zawołałem z pewną żywością: — Gdyby mój stosunek handlowy z portem był stały, to inna rzecz. Ależ ja tu zgoła obcy!... Mogę tu nie powrócić w ciągu stu lat. Nie widzę, dlaczego ja.... Czy pan chce powiedzieć że to przyjęte?

— Tego się oczekuje od kogoś takiego jak pan —

westchnął łagodnie. — Ośmiu starszych komisantów, szef — to dziewięć, panów trzech — dwanaście osób. Nie powinno zbyt wiele kosztować. Gdyby pan zechciał dać mi znać o dniu przez stewarda.

— Tego się ode mnie oczekuje! Dlaczegóż ma się tego ode mnie oczekiwać? Czy przeto, że wydaję się już nazbyt miękkim, czy co?

Uderzyła mnie w jego nieruchomej postawie jakaś nagle przywdziana godność, a w jego zimnej krwi odczułem cechę niebezpieczną.

— Jest czasu poddostatkiem, by to obmyśleć — zakończyłem wątło, machnięciem ręki chcąc już pozbyć go się... Ale przed odejściem zdążył nadmienić z ubolewaniem, że dotąd nie miał przyjemności oglądania mnie w swoim „zakładzie", bym spróbował cygar. Miałby do zbycia paczkę, sześć tysięcy, bardzo tanio.

— Myślę, że opłaciłaby się panu chwilowa fatyga dla zamówienia sobie pewnej ich ilości — dodał z tłustym, melancholijnym uśmiechem i opuścił kajutę.

Burns, wzburzony, uderzył pięścią w stół.

— Czy pan widział kiedy taką bezczelność! Postanowił sobie wyciągnąć z pana cokolwiek bądź w ten czy w inny sposób.

Odrazu poczułem w sobie chęć obrony Jacobusa i odparłem filozoficzną uwagą, że wszystko to są sprawy zawodowe, jak mniemam. Lecz ten niedorzeczny starszy mój oficer, wymruknąwszy parę urywanych zdań,

jako to: „Nie mogę ścierpieć!... Zważ pan moje słowa" i tak dalej, z trzaskiem wyleciał z kajuty. Gdybym go był nie pielęgnował podczas tej zabójczej gorączki, nie zniósłbym jego zachowania się ani przez jeden dzień dłużej.

III

Mając zaprzątniętą przez Jacobusa myśl bogatym jego bratem, przyszedłem do wniosku, że trzeba sprawę widzenia się z nim załatwić niezwłocznie. Podówczas słyszałem o nim już cokolwiek więcej. Był on członkiem Rady, gdzie stale ściągał na siebie zarzuty władz. Wywierał spory wpływ na opinję publiczną. Mnóstwo ludzi było mu winno pieniądze. Jako dostawca wywozowy, prowadził na wielką skalę import wszelkiego rodzaju towarów. Naprzykład, cała dostawa worków do cukru była faktycznie w jego ręku. O tym ostatnim fakcie dowiedziałem się dopiero później. Z dostarczonych mi danych odniosłem ogólne wrażenie, że stanowił miejscową znakomitość. Był kawalerem i urządzał co tydzień w swym zamiejskim domu karciane przyjęcia, na których bywali najpierwsi ludzie z osady.

Tem większą było tedy dla mnie niespodzianką, gdym odnalazł jego biuro w lichem otoczeniu, zupełnie zdala od dzielnicy interesów, pośród skupiska nędznych lepianek. Mając wskazany kierunek przez czarną

deszczułkę z białemi literami, wdrapałem się po drewnianych stopniach wąskiej klatki schodowej i wszedłem do miejsca o gołej podłodze z desek, zasłanej strzępkami burego papieru i wiechciami pakowej słomy. Wielka ilość nawalonych na siebie jakby skrzynek winnych piętrzyła się u jednej ze ścian. Chuderlawy, atramentowo czarniawy, zlekka żółtawy, młodzikowaty mulat, o mizernie długiej szyi i naogół przypominający chore kurczę, zerwał się z trójnożnego stołka, z poza taniej, z tarcic skołatanej biurczyny, i wpatrywał się we mnie, jak gdyby oniemiały ze strachu. Miałem pewną trudność z namówieniem go, aby mnie poszedł oznajmić chociaż nie mogłem z niego wydobyć, jakiejby natury był jego przeciw temu zarzut. Uczynił to wreszcie, nieomal konając z niechęci, która przestała być dla mnie zagadkową, gdy usłyszałem, jak go straszliwie, z dzikim przytłumionym porykiem sklęto, potem donośnie wypoliczkowano i ostatecznie wykopnięto nazewnątrz, zgoła bez żadnej tajemniczości; albowiem powrócił, wylatując za drzwi głową naprzód i dusząc się od powściąganego krzyku.

Powiedzieć, że zdrętwiałem, byłby to niedostateczny wyraz. Zachowywałem się cicho, jak człowiek pogrążony we śnie. Biedny chłopiec, trzymając się oburącz za tę część swego wątłego szkieletu, która otrzymała uderzenie, rzekł poprostu:

— Niech pan będzie łaskaw wejść.

Samoopanowanie tej mizeroty było dziwne; lecz nie niweczyło ono nieprawdopodobieństwa raz już doznanego wrażenia. Niedorzeczny pomysł, że ja tego chłopca gdzieś przedtem już widziałem, rzecz oczywiście, niemożebna, był jakby delikatnem, zakończającem obrzęd czarów dotknięciem, uzupełnieniem sceny, w sam raz odpowiedniej do powzięcia wątpliwości, czy się jest przy zdrowych zmysłach. Z wytężonym wzrokiem oglądałem się dookoła, jak obudzony lunatyk.

— Słuchaj no — krzyknąłem wgłos, — czy to omyłka, czy nie? To jest biuro pana Jacobusa?

Chłopiec wpatrzył się we mnie z bolesnym wyrazem i tak mi jakoś znajomym! Głos ze środka warknął zaczepnie :

— Wejdź pan, chodź pan, kiedy tu już jesteś... Nie wiedziałem...

Przeszedłem ową zewnętrzną izbę tak, jak gdybym się zbliżał do jaskini jakiegoś dzikiego, nieznanego zwierza: z nieustraszoną odwagą lecz w pewnem podnieceniu. Tylko, że niema na świecie zwierza, któryby w człowieku mógł wywołać oburzenie; moc czynienia tego należy do ohydnych właściwości zwierzęcia ludzkiego. I ja wrzałem oburzeniem, co nie przeszkodziło mi zauważyć uderzającego podobieństwa obu tych braci.

Ten był ciemny, gdy tamten był jasnowłosy; ale równie otyły. Był bez marynarki i bez kamizelki; nie-

wątpliwie ucinał drzemkę, chrapiąc w bujaku, który stał w najdalszym od okna kącie. Ponad wielkim obszarem zmiętoszonej białej koszuli, zapiętej na trzy guzy brylantowe, jego pucołowata twarz wydawała się smagłą. Była wilgotną: ciemne wąsy zwisały kalekie i stetłane. Przypchnął mi nogą zwyczajne, o wyplatanem siedzeniu krzesełko.

— Siądź pan.

Musnąłem je przelotnem spojrzeniem, następnie, zwracając gniewne oczy wprost na niego, oświadczyłem tonem ścisłym i dobitnym, że przychodzę tu stosownie do zleceń mojego armatora.

— O! Tak. Hm! Nie zrozumiałem, co ten błazen mówił... Ale nic nie szkodzi! To oduczy tego drania przeszkadzać mi o tej porze — dodał, szczerząc do mnie zęby z drapieżnym cynizmem.

Spojrzałem na zegarek. Było po trzeciej — właśnie najgorętsza pora biurowej pracy poobiedniej w porcie. Burknął rozkazująco:

— Siadaj, kapitan.

Zważywszy łaskawość tego zaproszenia, odrzekłem:

— Wszystkiego, co mi pan ma do powiedzenia, mogę wysłuchać stojąc.

— Tfu! — wyfuknął, wlepił we mnie na moment szeroko otwarte, srogie ślepia. Olbrzymi kocur, nagle plujący w człowieka. — Patrzcie go!... Co panu się śni, że pan jesteś? Pocoś pan tu przyszedł? Jeśli pan nie

chcesz usiąść i porozmawiać o interesach, to lepiej idź pan sobie do djabła!

— Nie znam go osobiście — rzekłem: — lecz wobec tego, nieomieszkam złożyć mu wizyty. Spotkanie z dżentelmenem działa odświeżająco.

Szedł za mną i warczał:

— Co za bezczelność! Mam wielką chęć napisać pańskim mocodawcom to, co o panu myślę.

Odwróciłem się ku niemu na chwilę.

— Wyjątkowo nic a nic mnie to nie obchodzi. Zapewniam pana, ze swej strony, że nie podejmę trudu nawet wzmiankowania im o panu.

Zatrzymał się we drzwiach swego biura, kiedym już przeszedł zaśmieconą sień. Był widać cokolwiek zaskoczony.

— Pogruchotam w tobie wszystkie gnaty — raptem ryknął na nieszczęsnego mulatka, — jeśli kiedykolwiek ośmielisz się przeszkodzić mi do godziny trzeciej dla kogokolwiek bądź. Słyszysz? Dla kogokolwiek bądź!... Daj mi spokój z jakimś tam szyprem, bierz go licho — mruknął trochę ciszej.

Wątły młodzieniaszek, chybocząc się jak trzcinowa piszczałka, wydawał stłumiony pojęk. Zatrzymałem się i udzieliłem temu cierpiącemu stworzeniu pewnej rady. Podsunął mi ją widok młotka (zdaje się używanego do otwierania skrzynek z winem), leżącego na podłodze.

— Gdybym był tobą, mój chłopcze, wziąłbym tę rzecz do rękawa, wchodząc tam za następnym razem, i przy pierwszej sposobności bym — —

Co to jest, to coś mi znajomego w żółtej twarzy tego chłopaka? Zatarasowany i dygoczący za swojem tandetnem biurkiem, nawet nie podniósł oczu. Grubość jego opuszczonych powiek naraz dała mi klucz tej łamigłówki. Podobny był — tak jest, te sklejone, mięsiste wargi — podobny był do brata Jacobusa. Podobny był do obudwu, do tego bogatego kupca i do tamtego zabiegliwego kramarza (którzy byli podobni do siebie); podobny był do nich o tyle, o ile wiotka, zlekka żółtawa chłopaczyna mulacka może być podobną do dużego, tęgiego, białego człowieka w średnim wieku. Egzotyczna cera i szczupłość budowy — oto co mnie tak najzupełniej zbijało z tropu. Teraz nieomylnie widziałem w nim cechy rodowe Jacobusów, osłabione o zmalałem natężeniu — rozcieńczoną że tak powiem, ich treść w wiadrze wody — i powstrzymałem się od zakończenia swej namowy. Miałem zamiar powiedzieć: „Trzaśnij i rozwal mu ten jego łeb bydlęcy". Czułem jeszcze dotąd, iż ten ostateczny wniosek był trafny. Ale to nie żarty brać na siebie odpowiedzialność, doradzając komuś ojcobójstwo, choćby i najniezmierniej pokrzywdzonemu.

— Żebracze — pyskate — szypry...

To ujadanie za plecami przyjąłem z pogardą; bę-

dąc jednakże wielce podrażniony i wytrącony z równowagi, z żalem to mówię, zatrzasnąłem za sobą drzwi w sposób jak najbardziej sprzeczny z dostojnością.

Może to się wyda rzeczą niezupełnie nierozsądną, jeśli powiem, że po tej przeprawie pogląd mój na tamtego Jacobusa znacznie się poprawił. I z przychylniejszym uczuciem niby jakiegoś z nim wspólnictwa, po kilku dniach zgłosiłem się do jego „zakładu". Do tego przybytku interesów, o bardzo ciemnych tyłach piwnicznych, do tej przepastnej bezdni, zapchanej wszelkim materjałem kupieckim, wchodziło się z ulicy przez wysoko wzniesioną arkadę portalu. W dalekiej głębi spostrzegłem mego Jacobusa bez marynarki, bardzo zajętego czemś wśród swych pomocników. Izbę kapitańską stanowił mały, sklepiony alkierz o kamiennej posadzce i oknach, okratowanych grubemi żelaznemi sztabami; przypominał zamkowy loszek więzienny, zamieniony w gościnną komnatę.

Para ochoczych butelek w towarzystwie kilku brylantowo lśniących kieliszków tworzyły świetne gronko dookoła matowo-czerwonego, glinianego, pokaźnej objętości dzbanka w pośrodku stołu, na którym rozpostarte leżały czasopisma ze wszystkich części świata. Dobrze wyszczotkowany jakiś obcy pan, w szykownym garniturze szarym w kratkę, siedzący z zarzuconą na kolano nogą, odłożył nabok arkusz gazety i kiwnął mi głową.

Domyśliłem się, że to kapitan jakiegoś parowca. Niesposób znać tych panów. Przybywają i oddalają się zbyt prędko, a ich statki rejdują za daleko, u samego wejścia do przystani. Żyją właściwem sobie, łącznem życiem. Zlekka ziewnął.

— Głupia dziura, nieprawdaż?

Zrozumiałem, że ma na myśli miasto.

— Pan uważa? — mruknąłem.

— A pan nie? Lecz jutro już mnie tu niema, dzięki Bogu.

Wyglądał na osobę nader dżentelmeńską, uprzejmą i wyższego tonu. Przyglądałem mu się, jak przysunął do siebie stojące na stole otwarte pudełko z cygarami, jak wydobył z kieszeni grubą papierośnicę i jak zaczął ją bardzo porządnie napełniać. Teraz, gdy spotkały się nasze oczy, mrugnął niby zwyczajny śmiertelnik, zachęcając mnie do pójścia za jego przykładem.

— Można je palić, są istotnie przyzwoite.

Pokręciłem głową.

— Ja tu jeszcze jutro będę.

— Cóż z tego? Sądzi pan, że nadużywam gościnności Jacobusa? Uchowaj Boże! To wchodzi do rachunku, rzecz prosta. On przeplata go takiemi różnemi drobnemi doliczkami. Umie on dbać o samego siebie. Czemużby nie, to zwykła rzecz w interesach — —

Zobaczyłem cień, przemykający po jego pełnym zadowolenia wyrazie twarzy, i moment niezdecydowania,

gdy zamykał swą papierośnicę. Lecz skończyło się na tem, że schował ją do swej kieszeni obieżyświatowca. Umiarkowanym głosem wyrzeczone ozwało się ode drzwi: „Jesteś pan w zupełnym porządku panie kapitanie".

Obszerny, bezszelestny kształt Jacobusa wsunął się do izby. Jego spokój w danym razie znaczył tyleż co serdeczność. Zjawił się do nas, wdziawszy przedtem żakiet, i usiadł w fotelu opróżnionym przez parowcowego kapitana, który ponownie kiwnął mi głową i wyszedł z krótkim, trzeszczącym śmiechem. Zapanowało głębokie milczenie. Trzymając na mnie swój ociężały wzrok, Jacobus zdawał się drzemać z otwartemi oczyma. Jednak czułem, że ciężkie jego spojrzenie do głębi mnie bada. W ogromnej pieczarze sklepu ktoś jął zabijać gwoździmi pakę, snać fachową ręką: pac — pac... pac — pac — pac! Dwaj inni fachowcy, jeden głosem niskim i nosowym, drugi świdrującym w uszach i szczekliwym, zaczęli jakby litanję sprawdzania faktur.

— Trzycalowy kordel manilowy. pół kłębu.

— Dobrze.

— Sześć par sprzęgieł.

— Dobrze.

— Sześć puszek zup — komplet, trzy pasztetu, dwie szparagów, czternaście funtów tytoniu — kajuta.

— Dobrze.

— To dla tego kapitana, który tu był przed

chwilą — rzekł piersiowym półgłosem niezachwiany Jacobus. — Te obstalunki z parowców to drobiazg. Skupią po drodze to co im potrzeba narazie. Ten pan będzie w Samarangu przed upływem dwu tygodni. Bardzo małe zamówienie, doprawdy.

Wywoływanie pozycyj szło w sklepie w dalszym ciągu: nadzwyczajna mieszanina różnorodnych części składowych, pędzli malarskich, yorkshir'skich delikatesów etc., etc...

— Trzy worki najprzedniejszych ziemniaków — wyczytywał głos nosowy.

Tu Jacobus zamrugał powiekami, jak śpiący człowiek, którego obudzono szturchnięciem i ujawnił cokolwiek ożywienia. Na jego rozkaz, wykrzyknięty w głąb sklepu, jakiś mizdrząco uśmiechnięty, półkolorowy pisarek, o suto namaszczonych olejem kędziorkach i z obsadką pióra zatkniętą za ucho, wniósł próbkę z sześciu kartofli, które ustawił na stole w ordynku paradowym.

Znaglony do przyjrzenia się ich piękności, obrzuciłem je zimnym i nieprzyjaznym błyskiem oczu. Najspokojniej w świecie Jacobus zaproponował mi, żeby zrobić u niego obstalunek na dziesięć lub piętnaście tonn — tonn! Nie wierzyłem uszom. Moja załoga nie zjadłaby takiej porcji przez rok, a kartofel (wybaczcie mi tę praktyczną uwagę) to łatwo psująca się ładuga. Myślałem — że żartuje, lub że chce się przekonać, czy nie jestem jakimś niewypowiedzianie głupim niedołęgą.

Ale jego zamiar nie był tak prosty. Okazało się, że rozumiał on kupno na mój własny rachunek.

— Proponuję panu kawałek interesu, panie kapitanie. Nie oznaczę wysokiej ceny.

Powiedziałem mu, że nie przybyłem tu handlować. I nawet dodałem szyderczo, że zbyt dobrze wiem, jak się kończy tego rodzaju spekulacja. Westchnął i założył ręce na żołądek z gestem przykładnego wyrzeczenia się. Podziwiałem jego bezwstydny spokój. Zaczem, jakby się budząc:

— Może pan zapali cygaro, kapitanie.

— Nie, dziękuję. Nie palę cygar.

— Tym razem! — szepnął cierpliwym szeptem, wzmożonym do okrzyku.

Nastąpiła melancholijna cisza milczenia. Wiecie, jak czasami ktoś uzewnętrznia głębię i przenikliwość myśli, o którą nie można go było podejrzewać, to jest, inaczej mówiąc, wyłania z siebie coś nieoczekiwanego. Z takiem więc pewnem nieoczekiwaniem słuchałem Jacobusa, gdy mówił:

— Ten pan, który przed chwilą wyszedł, miał słuszną rację. Może pan zapalić, panie kapitanie. Tu obowiązkiem każdej rzeczy jest przedstawić się tylko ze strony interesu.

Uczułem, że mi trochę wstyd samego siebie. Pamięć o tamtym strasznym jego bracie sprawiła, że ten wydał mi się odmianą człowieka zupełnie godziwą. Nieco tedy skruszony, wypowiedziałem kilka słów w tym

sensie że gościnności jego bynajmniej nic nie zarzucam.

Zanim postarzałem się o minutę, spostrzegłem — dokąd mnie to ustępstwo prowadzi. Jak gdyby zmieniając przedmiot, Jacobus nadmienił, że do jego prywatnej siedziby jest około dziesięciu minut spacerkiem. Siedziba posiada otoczony murem stary ogród. Coś istotnie godnego uwagi. Mógłbym też zajść którego dnia i rzucić okiem.

Wyglądał na miłośnika ogrodów. I ja również miałem w tych rzeczach wielkie upodobanie; lecz anim myślał, żeby moja skrucha miała ponieść mnie aż tak daleko — do kwiatowych grządek Jacobusa, chociażby nie wiem jak pięknych i starych. Z pewną cechą parafjańskiej szczerości dodał:

— Tam tylko jest moja dziewczyna.

Trudno zapisywać każdą rzecz w należytym porządku. Muszę więc tutaj cofnąć się do tego, co stało się przed tygodniem czy przed dwoma. Ordynujący z urzędu lekarz portowy przybył na pokład mego okrętu, by rzucić okiem na jednego z mej załogi, któremu coś dolegało, i rzecz naturalna, zaproszony został do kajuty. Był tam również i pewien mój kolega szyper. Podczas rozmowy o tem i owem zostało wspomniane nazwisko Jacobusa. Wymienił je z nieszczególnym szacunkiem ktoś, bodaj czy nie ten kolega. Nie pamiętam teraz co już miałem mówić. Doktór, przyjemny, kulturalny, o zdecydowanym tonie, uprzedził moje słowa, wtrącając z przekąsem:

— Ach, panowie mówicie o moim szanownym teściu.

Rzecz prosta, cierpki ten frazes wywołał wtedy kłopotliwe milczenie. Przypomniałem sobie ten epizod i, kojarząc go z daną sytuacją, gdy już zaświerzbiał mnie język, by powiedzieć coś niegrzecznego, zapytałem tylko z uprzejmem zdziwieniem:

— Pan masz zamężną córkę, która z panem mieszka, — panie Jacobus?

Machnięciem tłustej ręki z prawa na lewo zaprzeczył. Nie! To jest inna z jego córek, powiedział znacząco i, jak zwykle, półgłosem. Ona... Zrobił przystanek, snać chcąc wynaleźć w mózgu jakieś opisowe zdanie. Lecz moja nadzieja została zawiedziona. Ograniczył się wypowiedzeniem swego zwykłego określenia:

— To jest osoba zupełnie w innym guście.

— Doprawdy... Ale! ale! panie Jacobus! Byłem u pańskiego brata w tych dniach z wizytą. Nie pochlebiając panu, znalazłem, że jest to osoba zupełnie w innym guście, niż pan.

Przybrał wyraz głębokiego zastanowienia się, potem rzekł spokojnie:

— To jest człowiek o ustalonych nawyknieniach.

Może stosował to do nawyknienia do owej poobiedniej drzemki; lecz ja wymamrotałem coś o „bydlęcych, w każdym razie, nawyknieniach" i raptownie wyszedłem ze sklepu.

IV

Moje drobne zajście z tamtym Jacobusem zyskało powszechny rozgłos. Niektórzy znajomi dawali mi do zrozumienia, że o tem wiedzą. Chyba mulatczyk się wygadał. Opinja była poniekąd zgorszona, ale muszę wyznać, że wcale nie z powodu brutalności Jacobusa. Jeden z moich dawniejszych znajomych strofował mnie za porywczość. Opowiedziałem mu cały przebieg mej wizyty, nie wyłączając mniemanego podobieństwa nieszczęsnej chłopczyny mulackiej do swego dręczyciela. Nie dziwił. Tak, tak. — I cóż stąd? Jowjalnym tonem zapewniał mnie, że tego gatunku musi być sporo. Jacobus starszy był przez całe życie kawalerem. Wysoko poważanym kawalerem. Lecz ten stosunek nigdy nie wywoływał jawnego zgorszenia. Prowadzi życie w zupełności regularne. Nie byłby w stanie dla kogokolwiek być przykrym.

Powiedziałem, że mnie spotkała przykrość dość poważna. Mój interlokutor zrobił wielkie oczy: jakto? że chłopcu, jakiemuś mulatowi, dostało się parę szturchańców? Jest się też o co rozbijać, doprawdy. Nie mam pojęcia o zuchwalstwie i kłamliwości tych mieszańców. Zdawało się, że w jego przekonaniu pan Jacobus okazuje temu chłopakowi niemal łaskę, trzymając go wogóle u siebie w zajęciu: rodzaj miłej słabostki, za którą można kogoś lubić i którą można wybaczyć.

Ten mój znajomy zaliczał się do starych rodzin

francuskich, stanowiących potomstwo dawnych osadników. Wszystko to szlachta, wszystko zbiedniałe i żyjące ciasnem domowem życiem, spłowiałem i zanikającem w dostojnem murszeniu. Płeć brzydka z reguły zajmowała podrzędne stanowiska w biurach rządowych lub w przedsiębiorstwach handlowych. Dziewczęta, po większej części ładniutkie, nie znające świata ,dobre i układne, i zazwyczaj dwujęzyczne: szczebiotały niewinnym szczebiotem zarówno po francusku jak i po angielsku. Pustka ich bytowania przechodzi wiarę.

Otrzymałem wstęp do kilku takich rodzin, ponieważ przed paroma laty, w Bombaju, nadarzyła mi się sposobność oddania przysługi pewnemu miłemu, bezradnemu młodzieńcowi, który utknął jak rozbitek, nie wiedząc, co tam z sobą począć, lub nawet jak się znowu dostać na swoją wyspę. Była to kwestja dwuchset czy około tego rupij, lecz gdym przybył zpowrotem, rodzina wzięła sobie za punkt honoru wyrazić mi wdzięczność przez dopuszczenie mnie do zażyłej z sobą komitywy. Zwłaszcza, że ułatwiła mi przyjęcie moja znajomość francuskiego języka. Zdążyli tymczasem ożenić owego młodzieńca z kobietą dwa razy odeń starszą, stosunkowo zamożną — jedyny dla niego odpowiedni fach. Lecz pożycie ich nie było całkowicie usłane różami. Za pierwszą moją u tego stadła bytnością, żona wyszpiegowawszy tłustą plamkę na spodniach tego nieboraka, zrobiła mu taką wrzaskliwą scenę wyrzutów,

przepojonych namiętnością, że siedziałem, zdjęty przerażeniem, jak na tragedji Racine'a.

Oczywiście, nie było wcale mowy o sprawie pożyczonych mu pieniędzy; ale panna Agnieszka i panna Marja, dwie jego siostry, oraz ciotki obu rodzin, mówiące wykwintną archaiczną francuszczyzną z epoki przed Rewolucją, łączne z zastępem dalekich krewnych i powinowatych, wręcz adoptowali mnie na przyjaciela z takiemi zachodami, że były one dla mnie prawie kłopotliwe.

Ten ktoś, z kim rozmawiałem o Jacobusie hurtowniku, był to właśnie najstarszy brat (miał zajęcie w mej kancelarji odbiorczej). Ubolewał nad mojem zachowaniem się wtedy i kręcił roztropną głową. To człowiek o dużych wpływach. Nigdy niewiadomo, kiedy się taki może przydać. Oświadczyłem, że wybierając pomiędzy nimi dwoma, zewszechmiar oddaję pierwszeństwo detaliście. Tu mój przyjaciel spoważniał.

— Co u licha? czemu robi pan taką wydłużoną twarz? — krzyknąłem, zniecierpliwiony. — Zaprosił mnie, bym obejrzał jego ogród, i mam szczery zamiar tam pójść.

— Niechże pan tego nie czyni — rzekł z tak uroczystą powagą, że roześmiałem się w napadzie wesołości. Ale on spoglądał na mnie bez uśmiechu.

Bo teraz chodziło o całkiem innego pokroju materję. Swego czasu publiczne sumienie wyspy było potężnie wstrząśnięte przez mego Jacobusa. Dwaj bracia

żyli cały szereg lat w bardzo zgodnej spółce, gdy pewien cyrk wędrowny przybył na wyspę i mój Jacobus nagle zadurzył się w jednej z woltyżerek. Pogorszało sprawę to, że był żonaty. Niełaskawa opatrzność nie pozwoliła mu nawet skryć namiętnych uniesień. Zaprawdę, musiała to być wielka moc, zdolna unieść tak korpulentną, spokojną istotę. Jego zachowanie się było ostatnim wyrazem skandalu. Pojechał za tą kobietą na Przylądek i ciągnąc za cyrkiem, jawnie podróżował po różnych częściach świata, w najbardziej poniżającej roli. Kobieta rychło przestała o niego dbać i traktowała go gorzej psa. Nadzwyczajne opowieści o tym upadku moralnym dochodziły wówczas na wyspę. A on nie miał siły charakteru, żeby się z tych więzów otrząsnąć...

Dziwaczny wizerunek otyłego, obrotnego handlarza okrętowego, który niewolniczo uległ opętaniu bezbożnej miłości, czarująco na mnie podziałał. I powiem, że z otwartemi ustami słuchałem tej odwiecznej jak świat historji, która znajdowała wyraz w legendach, w baśniach, w bajkach moralnych, w poematach, ale która w tak zabawnie chybiony sposób nie zestrajała się z tą osobistością. Jakaż to dziwnie nielicująca z bożkiem miłości jego ofiara!

Tymczasem żona, którą był porzucił, umarła. Jego córką zaopiekował się brat i wydał ją zamąż najkorzystniej, jak było można w tych warunkach.

— A, to pani doktorowa! — zawołałem.

— Pan o tem wie? Tak. Bardzo zdolny człowiek. Brakowało mu tego, co jest dźwignią w świecie, a tam był porządny kawałek grosza, nie mówiąc o widokach na przyszłość. Rzecz prosta — dodał — nie utrzymują z nim stosunków. Doktór kłania mu się, przypuszczam, na ulicy zdaleka, lecz nie nawiązuje z nim rozmowy, gdy przypadkiem, co się pewno zdarza czasami, spotykają się na pokładzie okrętu.

Zrobiłem uwagę, iż to stara historja na nowy ład.

Mój przyjaciel zgodził się z tem. Wszakże było to już własną winą Jacobusa, że mu nie przebaczono i nie zapomniano o nim. Ostatecznie, powrócił. Ale jak? Bez ducha pokory i skruchy, co mogłoby przejednać zgorszonych współobywateli. Nie, otóż musiał wlec z sobą dziecko — dziewczynę...

— Wspominał mi o jakiejś córce, która z nim mieszka — wtrąciłem, bardzo zainteresowany.

— Jest ona niezawodnie córką tej kobiety cyrkowej — rzekł mój przyjaciel. — Może jest również i jego córką. Gotów jestem przypuścić, że tak. W samej rzeczy, nie wątpię. — —

Lecz nie widział powodu wprowadzania jej do grona szanującej się społeczności, aby utrwalać na wieki wieczne pamięć o tym skandalu. Ale to nie było rzeczą najgorszą. Teraz zaszło coś, z czem było daleko większe nieszczęście. Owa kobieta, z którą się był rozstał, powróciła tu. Wylądowała z pocztowego statku...

— Co? Tutaj? Może upominać się o dziecko — nasunąłem domysł.

— Ona? A jakże! — Mój przyjaciel wzgardliwym tonem poinformował mnie o sytuacji.

Proszę sobie wystawić uszminkowaną, zeschłą jak szczapa, roztrzęsioną, szalejącą wiedźmę. Pozbył się jej ktoś, wyrzucając ją na Mozambiku i opłaciwszy za nią przejazd aż dotąd. Z pozostałością wewnętrznych uszkodzeń, których nabawił ją koń wierzgnięciem kopyta — po wylądowaniu na brzeg, nie miała centa przy duszy. Nie zdaje mi się, żeby nawet choć zapytała o dziecko, chcąc je zobaczyć. Chyba w ostatnim dniu przed śmiercią. Jacobus wynajął dla niej chatę, żeby tam sobie mogła umrzeć. Sprowadził parę sióstr ze szpitala, aby jej doglądały przez ten niedługi okres dwu — trzech miesięcy jej życia. Jeżeli Jacobus nie zaślubił jej *in extremis*, co poczciwe siostry usiłowały przeprowadzić, to jedynie dlatego, że ona nie chciała nawet o tem słyszeć. Jak mówiły siostry: „Umarła bez rozgrzeszenia". Opowiadali, że już w chwili zgonu kazała Jacobusowi wyjść precz za drzwi. To musi być istotny powód, dlaczego sam nie przywdział żałoby, tylko córkę ubrał czarno. Gdy była małą dziewczynką, widywano ją czasem na ulicy w towarzystwie służącej, murzynki, lecz gdy już podrosła na tyle, że można jej było zapuścić włosy, nie sądzę, by choć jeden krok zrobiła poza mur ogrodu. Musi mieć obecnie około lat ośmnastu.

Taka była opowieść mego przyjaciela, wraz z posłowiem, zawierającem takie szczegóły, jako to: że on nie sądzi, aby na wyspie znalazły się trzy osoby jakiegokolwiek społecznego stanowiska, do którychby ta dziewczyna coś przemówiła; że pewna, już w latach, kuzynka Jacobusa, znaglona ostateczną biedą, zgodziła się być ochmistrzynią dziewczyny. Co zaś tyczy się zawodu handlarza okrętowego, któremu się poświęcił Jacobus (co było solą w oku jego brata), to wybór ten należy uznać za rzecz z jego strony mądrą. Dzięki temu zajęciu, miał styczność jedynie z ludźmi obcymi i przyjezdnymi; każde zaś inne, w rodzimem środowisku socjalnem, przyczyniałoby się do wytwarzania przeróżnego rodzaju fałszywych sytuacyj. Człowiek ten nie byłby pozbawiony pewnego taktu — jedno tylko, że powoduje nim wrodzony bezwstyd. Bo w imię jakiej potrzeby chował przy sobie tę dziewczynę? Dla wszystkich było to rzeczą najboleśniejszą.

Wtem nagle przypomniałem sobie (i z wielką odrazą) tamtego drugiego Jacobusa i nie mogłem się powściągnąć od zdradliwego powiedzenia:

— Myślę, że gdyby trzymał ją przy gospodarstwie, w kuchni, dajmy na to, w charakterze pomywaczki, i gdyby od czasu do czasu wytargał ją za czub i kropnął po uchu, to jej stanowisko bardziej odpowiadałoby przyjętym regułom i mniejby raziło tę szanowną kastę, do której i on się zalicza.

Mój przyjaciel nie był na tyle głupi, żeby nie zmiar-

kować, o co mi chodziło, i niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Pan nie rozumie. Przedewszystkiem nie jest ona mulatką. A co skandal, to skandal. Trzeba ludziom ułatwić jakoś zapomnienie. Ośmielę się twierdzić, że lepiej byłoby dla niej, gdyby zrobiono z niej pomywaczkę lub coś takiego. Zgadzam się, że on usiłuje zbijać grosz drobnemi sposobikami wszelkiego rodzaju; ale w takim interesie nigdy i nikomu nie zawadzi mieć jak najwięcej szans posunięcia się naprzód.

Gdy mój przyjaciel wyszedł, przedstawiła mi się egzystencja Jakobusa i jego córki, jako bytowanie dwojga samotnych wyrzutków na odludnej wyspie; dziewczyna ma schronisko w domu, jak gdyby w pieczarze skalnej, a Jacobus wyruszył na poszukiwanie jakiejś strawy dla obojga — zupełnie jak dwoje rozbitków, żyjących ciągłą nadzieją na jakiegoś zbawcę, któryby ich wywiódł stamtąd nakoniec do ponownego zetknięcia się z resztą ludzkości.

Ale rzeczywista korpulencja Jacobusa nie odpowiadała tej wyobrażalnej romantyce. Gdy znów jak zwykle, zaszedł na pokład i, popijając zwolna kawę, pytał mnie, czy jestem zadowolony — półuchem tylko słuchałem komeraży portowych, które powoli cedził swoją niskobrzmiącą i oszczędnie wyrażającą się mową. Dość wtedy miałem swoich własnych kłopotów. Mój okręt był już skontraktowany, głowę miałem zaprzątniętą pomyślnym i szybkim kursem powrotnym, i nagle potykam

się o niedostateczną ilość worków. Katastrofa! Zapas jednego specjalnego gatunku, tak zwanego kieszonkowego, snać całkiem się wyczerpał. Zamówiona partja towaru miała wkrótce nadejść — już płynęła, już była w drodze, gdy tymczasem naładunek mego okrętu utknął w martwym punkcie. Było się czego martwić. Moi odbiorcy, którzy mnie w pierwszej chwili przybycia witali z taką niby serdecznością, teraz w charakterze moich dostawców-kontrahentów, słuchali moich utyskiwań grzecznie, lecz nie kwapiąc się z ratunkiem. Ich pryncypał, ten staropanieński chudzielec, który się tak drocząco wstydził bodaj tylko rozmawiać o nieczystym Jacobusie, wyłuszczył mi swój pogląd na rzecz ściśle po kupiecku.

— Mój drogi kapitanie — skurczył swe garbowane policzki do łaskawie uprzejmego, rekinowatego uśmiechu, — nie poczytywaliśmy za swój moralny obowiązek uprzedzać pana o możliwej niedoliczce kontyngensowej, zanim pan podpisał kupon kontraktu. Pańską rzeczą było, ściśle mówiąc, zabezpieczyć się przeciwko zajść mogącej przypadkiem zwłoce. Ale my, rzecz prosta, nie będziemy wyzyskiwali tego na naszą korzyść. To istotnie nie nasza wina. Myśmy się sami nie spostrzegli — kończył, sadząc się na ton szczerego wynurzenia i łżąc najwidoczniej.

Po suchej tej perorze, wyznam, zachciało mi się pić. Opanowanie wściekłego gniewu powszechnie sprawia ten skutek. Włokąc się tak bez celu, uprzytomni-

łem sobie, wysoki gliniany dzban w kupieckiej izbie Jacobusowego, „składu".

Ledwie kiwnąwszy raz jeden, nie więcej, zebranym tam panom, zalałem swoje oburzenie naprzód jednym haustem, potem drugim, a potem ogarnęła mnie troska i siedziałem zatopiony w smętnych rozmyślaniach. Tamci czytali, rozmawiali, palili, przerzucali się ponad moją głową jakiemiś, czasem niewymyślnemi żarcikami, ale moja niechęć towarzyska została uszanowana. Jakoż, nie odezwawszy się do nikogo, wstałem i wyszedłem, ale chyba poto tylko, aby najniespodziewaniej wśród gwałtu sklepowego natknąć się na wyrzutka Jacobusa.

— Witam pana, panie kapitanie, cieszę się. Co? Już na wychodnem? W ostatnich dniach coś mi pan nie wygląda za dobrze. Uciekamy już, hę?

Był po domowemu wpółrozebrany, i jego słowa nie odbiegały od codzienności zajęć, lecz czuło się w nich jakąś człowieczą nutę. Kordjalność jakaś zachowania się, kupiecka wprawdzie lecz i do takiej nie mogłem, jako obcy, mieć tytułu. Naprawdę byłem przekonany (wnosząc z kierunku jego ciężkiego spojrzenia, zerkającego ku pewnej szufladzie), że będzie mi wpychał „wzmacniający nerwy środek Clarksona". gdy rzekłem porywczo:

— Mam kłopot z tym swoim ładunkiem.

Z czujnem dookoła baczeniem pod senną, obszerną swoją maską o sklejonych ustach, pojął odrazu, ruchem

głowy zaznaczył tak należytą ocenę sytuacji, że puściłem wodze rozjątrzeniu i wykrzyknąłem:

— Tysiąc sto worków trzykorcowych napewno możnaby znaleźć w osadzie. Chodzi tylko o to, żeby je odszukać.

Znów ten lekki ruch dużej głowy, i wśród hałasu i czynnego rwetesu w składzie spokojny szept:

— Rzecz jasna. Ale ci, którzyby mogli mieć te trzyzorcówki zarezerwowane, nie zechcą ich sprzedać. Może im samym potrzebne.

— Tak właśnie mówili i moi odbiorcy. Niesposób kupić. Bujda! Nie życzą sobie tego i oni. Odpowiadałoby im, gdyby okręt był w zawieszeniu. Ale gdyby mi się udało odnalezienie tej partji, to i oniby również wpadli. — Słuchaj, Jacobus! *Pan* jesteś tym człowiekiem, który mi to może wytrząsnąć z rękawa.

Protestował poważnem kołysaniem dużej głowy. Stałem przed nim bezradnie, przykuty ważkiem spojrzeniem tych oczu, przysłoniętych jakby woalem, jakby ten człowiek był po jakimś wewnętrznym, duszą wstrząsającym przełomie. Wtem naraz:

— Niepodobna tu rozmawiać spokojnie — szepnął. — Jestem bardzo zajęty. Ale gdyby pan zechciał pójść do mnie do domu i zaczekać. Niema nad dziesięć minut spaceru. A prawda, nie zna pan drogi.

Zawołał o surdut i oświadczył, że gotów zaprowadzić mnie sam. Miał powrócić do składu zaraz, na jakąś godzinę, żeby pokończyć swe czynności, a potem

będzie już mógł swobodnie omówić ze mną tę sprawę trzykorcowych worków. W program ten wtajemniczył mnie cicho szepczącemi, półodemkniętemi ustami. W nieruchomem jego leżącem na mnie ciężkim spojrzeniu — spojrzeniu człowieka strudzonego — była, jak zwykle, potulność, ale wyczuwałem w niem ponadto jakiś wyraz badawczy. Nie miałem pojęcia, czego mu się we mnie chce doszukać, i milczałem w zaciekawieniu.

— Prosiłbym pana zaczekać u mnie w domu, aż się zwolnię i będę mógł z panem o tej rzeczy pomówić. Zgadza się pan?

— Najchętniej — zawołałem.

— Ale nie mogę obiecywać — —

— Nieinaczej. Nie będę liczył na obietnicę.

— Bodaj że nawet nie mógłbym przyrzec, iż spróbuję pewnego posunięcia, które mam na myśli. Trzeba się naprzód zorjentować... hm!

— Doskonale! Co będzie — to będzie. Poczekam na pana tak długo, ile pan zechce. Bo cóż innego mam robić w tej piekielnej dziurze portowej!

Nim dokończyłem ostatnich słów tego wynurzenia, ruszyliśmy kołyszącym się krokiem. Zawróciliśmy na kilku rogach i weszliśmy w ulicę zupełnie pozbawioną wszelkich znamion handlu, o półwiejskim wyglądzie, zabrukowaną okrąglakami, gnieżdżącemi się w kępkach trawy. Dom przylegał do bitego traktu; składał się z samego parteru na wzniesionej podmurówce z nieociosanych brył kamiennych, tak że idąc

tuż, głowami sięgaliśmy poziomu okien. Wszystkie żaluzje były szczelnie zasunięte, podobne oczom zawartym, i dom miał pozór śpiącego twardym snem w poobiedniej jaśni słonecznej. Wchodziło się bocznem wejściem z alei, zarośniętej trawą jeszcze bardziej niż ta ulica. Wąskie drzwi zamykały się na klamkę.

Przepraszając, że mnie wyprzedza dla pokazania drogi przez ciemny pasaż, Jacobus prowadził mnie po nagich taflach posadzki przez jakiś pokój, który mi się wydał stołowym. Pokój oświetlało troje oszklonych drzwi, szeroko otwartych na werandę lub raczej ganek, którego kolumnada z czerwonych cegieł, biegła wzdłuż całej ściany domu, wychodzącej na ogród. Lśniła zielonością murawa na pierwszym planie i pysznił się labirynt grząd kwiatowych, rozpostartych dookoła basenu ciemnej wody, obramionej marmurową krawędzią, a w oddali gęstwa liści najrozmaitszych drzew ukrywała dachy innych domów. Miasto mogło być — hen, o całe mile. Była to lśniącemi farbami kolorowa samotność, marząca w upalnem, rozkosznem oniemieniu. Gdzie długi cień zacisznie słał się wpoprzek grządek i w cienistych zasłonach zgęstwione barwy kwiatowe przybierały szczególnie efektowną okazałość. Stałem w zachwycie. Jacobus ujął mnie delikatnie powyżej łokcia, zmuszając do zrobienia półobrotu na lewo.

Nie zauważyłem przedtem dziewczyny. Zajmowała niski, głęboki, koszykarską robotą pleciony fotel łozinowy, i ujrzałem ją w czystym profilu, jakby sylwetkę

na tapecie i tak samo nieruchomą. Jacobus puścił me ramię.

— To jest Alicja — zwiastował mi cichym głosem; i ten jego przytłumiony sposób mowy nadał tym słowom podobieństwo jakiegoś poufnego zwierzenia tak bliskie, że zdało mi się rzeczą właściwą jedynie kiwnąć potakująco i wyszeptać: „Rozumiem, rozumiem".

...Oczywiście, nic nie rozumiałem. Nikt z nas nic nie rozumiał. Staliśmy obaj, jeden obok drugiego, poglądając ku dziewczynie. Przez ten cały czas ani drgnęła, zapatrzona przed siebie nieruchomym wzrokiem, jak gdyby miała widzenie jakiegoś fantastycznego orszaku, przesuwającego się przez ogród w uroczystej jego ciszy, w bogactwie świetlanej pożogi słonecznej i w przepychu kwiatów.

Wtem, skończywszy swe rojenie, zatoczyła wzrokiem dookoła i spojrzała wgórę. Jeżeli ja nie zauważyłem był jej odrazu, to jestem pewien, że moja obecność tak samo uszła jej uwagi dotąd, dopóki nie zobaczyła mnie faktycznie przy boku ojca. Żywszy ruch w podnoszeniu ciężkich powiek, szersze otwarcie rozemdlonych oczu i następny moment uporczywego ich zapatrzenia się we mnie, usuwały wszelką co do tego wątpliwość.

Jej zdumienie zatrącało lękiem, a po nim nastąpiła błyskawica gniewu. Jacobus, wygłosiwszy całkiem donośnie moje nazwisko, rzekł: — „Rozgość się pan,

panie kapitanie — ja zabawię niedługo" — i pośpiesznie wyszedł. Nim miałem czas złożyć ukłon, już znalazłem się sam na sam z dziewczyną — która, uprzytomniło mi się to nagle, nie była widziana przez żadnego z mieszkańców, bądź męskich, bądź żeńskich, tego miasta, od chwili, gdy uznała potrzebę noszenia długich włosów. A wyglądały tak, jak gdyby od owego pierwszego czasu ich zapuszczenia były nietknięte; stanowiła je masa czarnych lśniących loków, w wysoki zwój niedbale na głowie skręconych, z długiemi, w nieładzie, kosmykami, zwieszającemi się z obu stron jaśniejącej białością twarzy; masa włosów tak gęsta i obfita, że — nietylko, patrząc na nie, czuło się ucisk ich wagi na ciemieniu, lecz odnosiło się wrażenie jakiejś przewspaniale cynicznej niesforności. Podała się naprzód, łonem przytuliła się do skrzyżowanych ud; płowo-bursztynowego koloru, falbanista, z jakiejś cienkiej tkaniny narzutka uwydatniała gibkie, młode ciało, wzięte w siebie, sprężone w głębi niziutkiego siedzenia, jak gdyby przyczajone do skoku. Uchwyciłem jeden czy dwa lekkie, dygocące drgnienia rzutowe, które mi coś niezwykle wyglądały jak zamierzony sus do ucieczki. Po nich nastąpił absolutny bezruch.

Nagła trwoga zbudziła się i we mnie, i już chciałem pobiec za Jacobusem, lecz opanowawszy ten niedorzeczny odruch, wziąłem krzesełko, postawiłem je nie za bardzo od niej zdaleka, usiadłem rozważnie i zacząłem mówić na temat ogrodu, nie dobierając słów, lecz

nadając łagodną pieszczotliwość, jaką się zwykło stosować przy obłaskawianiu dzikiego, wystraszonego zwierzątka. Nie byłem nawet pewny, czy ona mnie rozumie. Nie podnosiła twarzy i nie próbowała spojrzeć w moją stronę. Mówiłem wciąż jedynie dlatego, żeby zapobiec jej ucieczce. Znów przebiegło ją kilka, takich jak wpierw, stłumionych drgnień pomknieniowych, które śledziłem z trwożnie zapartym oddechem.

Ostatecznie, nasunął mi się domysł, że to, co nie pozwalało jej zerwać się jednym wielkim rozmachem i uciec, to była niedostateczność jej stroju. Fotel łozinowy był jedyną przylegającą do niej rzeczą, najbardziej zasobną w materję. Bo to, co miała na sobie pod tym spłowiało-bursztynowym, luźnym pudermantlem, musiało być nader wiotkie i przejrzyste. Taki stan rzeczy nie może ujść oka, to trudno. Było to widoczne. Co prawda, byłem tem zpoczątku onieśmielony: lecz ten rodzaj zmieszania łatwo mija, jeśli człowiek nie jest ograniczony niewolniczemi przesądami. Nie spuszczałem z Alicji wzroku. Paplałem dalej z przymilną słodyczą, a pamięć o tem, że najniezawodniej żaden obcy mężczyzna jeszcze nie mówił z nią, dodawała mi pewności siebie. Nie wiem, dlaczego miałby się do tej sytuacji zakraść jakiś gorętszy nastrój wzruszeniowy. Ale się zakradł. I właśnie, gdy zacząłem był to spostrzegać, nagle jakiś słaby okrzyk przeciął moją płynną mowę światowca.

Okrzyk ten nie pochodził od dziewczyny. Rozległ

się za mną i wywołał ten skutek, że raptem odwróciłem głowę. Pojąłem natychmiast, że to we drzwiach zjawisko jest ową w pewnych latach krewną Jacobusa, ową damą do towarzystwa, ową ochmistrzynią. Gdy stała tak, jakby rażona gromem, podniosłem się z krzesła i złożyłem jej niski ukłon.

Damy, stanowiące dwór Jacobusa, widocznie spędzały dni w lekkim przyodziewku. Ta osadzista, krępa jejmość, z twarzą podobną do ogromnej pomarszczonej cytryny, z oczyma jak paciorki i z kudłatą czupryną, siwą jak stal, była ubrana w jakąś leciutką, jedwabną suknię, koloru przypominającego popiół. Spadając z tłustego jej karku, zwieszała się do samych stóp z prostotą nieprzybranego niczem szlafroka. Suknia ta nadawała jej wygląd iście walcowaty.

— Jak pan tu się dostałeś? — krzyknęła.

Nim zdążyłem coś rzec, znikła, i zaraz usłyszałem z dalszej części domu świdrujące w uszach, zmieszane głosy zaprzeczeń. Widać nikt nie umiał powiedzieć, jak się tu dostałem. Za chwilę, z wielkim wrzaskiem dwu towarzyszących jej murzynek, wtoczyła się zpowrotem w drzwi rozjuszona.

— Co pan tu robisz?

Zwróciłem się ku dziewczynie. Siedziała już wyprostowana, z rękami na poręczach fotelu. Odwołałem się do niej.

— Ufam, panno Alicjo, że pani nie da im wyrzucić mnie na ulicę.

Jej wspaniałe czarne oczy zwęziły się w podłużny kształt, następnie głosem szorstko wzgardliwym rzuciła coś w rodzaju wyjaśnienia po francusku:

— *C'est papa.*

Po raz drugi złożyłem niski ukłon starej damie Obróciła się do mnie plecami, ażeby wypędzić swe czarne giermkinie, potem, obejrzawszy moją osobę w szczególny sposób jednem maleńkiem, prawie zamkniętem oczkiem i twarzą ściągniętą po tej stronie, jakby nabraną od fluksji, pokroczyła ku werandzie, siadła na pewnej odległości w bujający się fotel i wzięła ze stołka zaczętą na drutach pończochę. Przed przystąpieniem do robótki zanurzyła jeden z drutów w swej siwej szopie i pogrzebała nim mocno.

Jej pierwotna, szlafrokowo pokrowcowa bluza przylgnęła do starożytnych jej form, czyniąc ją podobną do spławianego kloca, w białych bawełnianych pończochach i w płytkich, z burego welwetu pantoflach. Na nożnem oparciu bujaka widać było natrętne jej stopy powyżej kostek. Zaczęła się zlekka pokołysywać, robiąc drutami. Zająłem znów swe miejsce na krzesełku i siedziałem cichutko, gdyż nie dowierzałem tej babie. A nuż rozkaże mi odejść? Wyglądała na usposobioną do wyrządzenia wszelkiej zniewagi. Raz czy dwa parsknęła gniewnie chrapami, robiła gwałtownie na drutach. Wtem nagle z jej rury oddechowej wyleciało piskliwe, do dziewczęcia zwrócone po francusku pytanie, które przekładam na mowę potoczną.

— Co to się twemu ojcu znów ubrdało?

Młode stworzenie wzruszyło ramionami tak wyraziście, że aż ten ruch targnął i zachwiał całem jej ciałem w luźnej matince; i głosem niespodzianie opryskliwym i zadzierzystym, a jednakże ponętnym dla zmysłów, jak pewne gatunki naturalnych świeżych win, które się pija z gustem:

—To jakiś tam kapitan. Daj mi spokój — dobrze?

Bujak zakołysał się szybciej, starczy głos zapiszczał jak gwizdawka.

— Z ciebie i twego ojca dobrana parka. On nie ma żadnych skrupułów — to przecież wiadomo. Ale tegom się nie spodziewała.

Pomyślałem, że najwyższy czas przewietrzyć moją zależałą francuszczyznę. Nadmieniłem skromnie ale stanowczo, że tu chodzi o interes handlowy. Mam do omówienia pewną sprawę z panem Jacobusem.

Natychmiast wydała szyderczy pisk: — Biedne niewiniątko. — Zaczem, zmieniając ton: — Sklep jest do interesów. Dlaczego pan nie idziesz rozmówić się z nim w sklepie?

Szalony pośpiech jej robiących drutami palców mógł przyprawić o zawrót głowy. I znów z kwikliwem oburzeniem:

— Siedzieć tu, wybałuszać oczy na dziewczynę — to pan nazywasz sprawą handlową?

— Nie — rzekłem potulnie — ja to nazywam roz-

koszą — i nadspodziewaną rozkoszą. I jeśli panna Alicja nie ma nic przeciw — —

Zrobiłem półobrotu ku niej. Cisnęła mi gniewne i wzgardliwe "Nie dbam o to!..." i, opierając łokcie na kolanach, objęła dłońmi podbródek — niewątpliwie podbródek Jacobusa. A te ciężkie powieki, te czarne oczy o zagniewanem, uporczywie wpatrującem się spojrzeniu przypominały mi Jacobusa również — bogatego kupca ryczałtowego, tego szanownego. I zarys jej brwi był ten sam, twardy i złowrogi. Tak jest! Wyśledziłem w niej podobieństwo do nich obu. Zacząłem się przychylać do jakiegoś daleko idącego, zdumiewającego wniosku, że właściwie obaj Jacobusi są pięknymi mężczyznami. Rzekłem:

— O, w takim razie będę na panią wybałuszał oczy dotąd, aż się pani uśmiechnie.

Była łaskawa obdarzyć mię jeszcze niegodziwiej lekceważącem: „Nie dbam".

Tu rozległ się wrzaskliwy pisk nieczułej staruchy:

— Co za bezwstyd? A i ty także! Nie dbam! Idź przynajmniej i weź coś więcej na siebie. Do czego to podobne tak siedzieć przed tym żeglarskim motłochem.

Słońce zabierało się do odejścia z tej Perły Oceanu na inne morza, na inne lądy. Murem okolony, pełen już cieniów ogród płonął od barw, jak gdyby kwiaty zwracały światło za dnia wchłonięte. Z dziwacznej jejmości wyłoniło się zdecydowane babsko. Z tak plugawą, niekrępującą się szczerością namawiała dziew-

czynę do gorsetu i spódnicy, że to mię upokarzało. Czyż tu liczono się ze mną więcej niż z drewnianym manekinem? Dziewczyna odcięła: — Co mi za mus?

Nie było to ordynarne odfuknięcie złego dziecka; miało to w sobie jakiś ton rozpaczliwy. Rzecz jasna, nieproszony gość, zakłóciłem równowagę ich ustalonych zwyczajów domowych. Stara kobieta robiła drutami z obłędną akuratnością, z oczyma utkwionemi w robótce.

— O, ty jesteś nieodrodną córką swego ojca! I to mówi o wstąpieniu do zakonu! Dać się tak oglądać chłopu z wywalonemi na wierzch oczami.

— Przestań.

— Bezwstydne stworzenie!

— Stara czarownico — wyrzekła dziewczyna dosadnie, nie zmieniając swej zadumanej pozy ze wspartym na dłoniach podbródkiem i z dalekiem zapatrzeniem się w ogród.

Były to jakby przyganiające sobie kocioł i garnek. Stara baba zerwała się z bujaka, grzmotnęła robótką o ziemię i trzęsąc swemi tucznemi mięsami, co najzupełniej dało się widzieć poprzez obległą na nich kieckę tej jędzy, toczyła się ku dziewczynie — bynajmniej nie poruszonej. Uczułem pewien rodzaj dreszczu, gdy ta wiekowa powinowata Jacobusa, stchórzywszy snać wobec postawy dziewczęcia, żywo skierowała się do mnie.

Była, jak zauważyłem, uzbrojona w drut od robótki; i gdy podniosła rękę, zdawało się, że zamierza

ugodzić nim we mnie, jak dzirytem. Lecz użyła go tylko do poskrobania się w głowę, a przez ten czas z odległości krótkiego strzału rozpatrywała mię swem jednem, prawie zamkniętem okiem i połową twarzy, skurczonej w jakiś niezwykle jednostronny grymas.

— Mój kochany panie — rzekła raptem: — czy panu się zdaje, że będzie chleb z tej mąki?

— Spodziewam się, istotnie, że tak, szanowna pani Jacobus. — Usiłowałem zachować niewymuszony ton konwersacji poobiednej. — Jestem tu, proszę pani, w sprawie pewnej ilości worków.

— Worków! Patrzcieno państwo! Czyż nie słyszałam, coś pan tam bajał tej paskudnej gałganicy?

— Ty chciałabyś widzieć mnie już w mogile — odezwała się cierpko dziewczyna, siedząca bez ruchu.

— W mogile! A ja? Żywcem pochowana, umarła przed śmiercią, zawdzięczając to temu zatraconemu stworzeniu i temu miłemu jego ojczulkowi — krzyczała; a zwracając się do mnie: — Pan jesteś jednym z tych ludzi, z którymi on robi swoje interesy. No więc? — dlaczego pan nie możesz zostawić nas w spokoju, mój dobry człowiecze?

To: „zostawić nas w spokoju" było wyrzeczone z naciskiem. Zawierało pewien rodzaj szelmowskiej poufałości, wyższości, pogardy. Miałem to słyszeć jeszcze nie raz jeden, albowiem okazalibyście niedostateczną znajomość ludzkiej natury, myśląc, że to była moja ostatnia wizyta w tym domu — w którym przez

tyle i tyle lat nie postała noga żadnej szanującej się osoby. Tak, doznalibyście zawodu, wyobrażając sobie, że to przyjęcie zaraz mnie wypłoszyło. Przedewszystkiem — nie wypadało rejterować przed jakąś cudaczną, hultajską babą.

A potem, nie zapominajcie o tych niezbędnych workach. W ten pierwszy wieczór Jacobus zatrzymał mnie na obiedzie, oświadczywszy mi jednakże przedtem uczciwie, że nie jest pewien, czy mógłby coś dla mnie wogóle uczynić. Myśli nad tem. Obawia się, że to będzie trudno.

...Ale wyłuszczenie mi tego zajęło trochę więcej czasu.

Za stołem siedziało nas tylko troje, gdyż dziewczyna za pośrednictwem wielokrotnych: „Nie chcę". „Nie dbam" i „Co mi tam", zamanifestowała wszem wobec swoją wolę niesiadania do stołu, niejedzenia wcale obiadu, nieruszenia się z werandy. Stara ciotka w rozklapanych pantoflach miotała się i wrzeszczała piskliwie, Jacobus nie przejmował się tem i wydobywał z siebie uśmierzające, gardlane pomruki. Mój udział w tej scenie polegał na oczekiwaniu zdala i rzucaniu słówek, za które pod przykryciem nocy dostała mi się szpetna sójka w bok, pochodząca od łokcia starej damy lub może od jej pięści. Zahamowałem okrzyk. A przez cały ten czas dziewczyna nie raczyła nawet podnieść głowy i obdarzyć kogolwiek z nas spojrzeniem. Wszystko to niby dźwięczy dziecinnie, — lecz w tem

jak kamień tłoczącem, przekornie swawolnem zasępieniu był jakiś przewijający się cień tragiczny.

Tak więc nasycaliśmy się jadłem, siedząc przy stole, na którym ślicznie płonęło mnóstwo świec, a ona została tam, skulona, zapatrzona w ciemność, jak gdyby podsycając swoje nadąsanie balsamiczną wonią tego cudnego ogrodu.

Przed odejściem powiedziałem Jacobusowi, że wrócę nazajutrz dowiedzieć się, jak postępuje sprawa worków. Pokręcił na to zlekka głową.

— Będę was nawiedzał, będę straszył w pańskim domu w biały dzień, dopóki pan się z tem nie uporasz.

Uśmiechnął się blado, nie odmykając grubych warg, a po chwili:

— Owszem, kapitanie, zgoda.

Potem, odprowadziwszy mnie do drzwi, z wielkim spokojem i powagą wymamrotał na pożegnanie: — Bądź pan tu jak u siebie w domu — i nieomieszkał nadmienić o sakramentalnej „łyżce zupy", która zawsze się dla mnie znajdzie. Już gdy słabo oświetlonemi ulicami schodziłem do bulwarku, dopiero przypomniałem sobie, że byłem proszony dziś na wieczerzę do państwa S. — Choć zirytował mnie ten mój brak pamięci (który jakoś niezręcznie byłoby tłumaczyć), jednakże nie mogłem oprzeć się myśli, że właściwie jemu zawdzięczam spędzenie wieczoru daleko zabawniej. A z drugiej strony — sprawa handlowa. — Ta święta sprawa. — —

Bosy negr dopędził mnie, skacząc na złamanie karku po stopniach schodni przystankowej. Poznałem w nim Jacobusowego przewoźnika, który widać odkarmiał się w kuchni. Jego zwykłe „Dobranoc, psze pana", gdym już wstępował na wężlicę okrętu, zadźwięczało mi serdeczniej, niż zazwyczaj w poprzednich razach.

V

Dotrzymałem słowa Jacobusowi. Nachodziłem jego dom. Wiecznie zastawał mnie tam w godzinach popołudniowych, gdy wpadał na moment ze swego „składu". Już od proga witał go dźwięk moich przemówień do Alicji, a gdy wieczorem powracał na dobre, mógłby był iść o zakład dziesięć przeciw jednemu, że jeszcze usłyszy ich dalszy ciąg na werandzie. Dopiero co skłoniłem mu się kiwnięciem głowy. Siadł ociężale i cichutko, i z pewnym rodzajem aprobaty i tęsknego oczekiwania będzie się przyglądał, jak staram się wywołać uśmiech na ustach jego córki.

Nieraz odzywałem się do niej: „Alicjo", również i przy nim; czasami, zwracając się do niej, mawiałem: „panno Nie-Dbam" i wyczerpywałem mózg, sadząc się na trajkotanie, lecz ani razu nie udało mi się wyprowadzić jej z chmurnego i tragicznego zamknięcia w sobie. Bywały chwile, kiedy czułem, że wybuchnę i zacznę ją kląć siarczystemi piorunami. I wyobrażałem sobie, że gdybym to był uczynił, to Jacobus aniby nawet

palcem zakrzywił, aniby nawet mruknął. Ustanowiło się pomiędzy nami coś w rodzaju niejasnego wewnętrznego porozumienia.

Muszę wyznać, że dziewczyna traktowała ojca jota w jotę tak samo, jak i ja byłem przez nią traktowany.

Bo i jakże mogło być inaczej? Traktowała mnie tak, jak traktowała swego ojca. Nigdy nie widziała mężczyzny przychodzącego z wizytą. Nie wiedziała, jak się mężczyźni zachowują. Ja należałem do gromady pospolitych interesantów, z którymi ojciec ma jakieś sprawy w porcie. Byłem człowiekiem bez znaczenia. Takim samym jak i ojciec. Jedyni na świecie ludzie przyzwoici to są ludzie tej wyspy, którzy nie chcą z nim się zadawać, ponieważ uczynił coś złego. W ten prawdopodobnie sens pani Jacobus wytłumaczyła jej odosobnione stanowisko towarzyskie ich domu. Trzebaż jej było powiedzieć cośkolwiek! I miałem to przeświadczenie, że z taką interpretacją pogodził się i Jacobus. Nie mogę nie przyznać, że stara rozsmakowała się w ciągłem poruszaniu tego tematu. Był on w jej ustach uniwersalnem źródłem wszelkich wyjaśnień, wszelkich wypominań, przymówek i docinków.

Pewnego dnia Jacobus przyszedł wcześnie, wykiwał mnie do jadalnego pokoju, z gestem znużenia otarł czoło i oświadczył mi, że udało mu się już zdobyć zapas trzykorcowych worków.

— Powiedziałeś pan, że brakuje pańskiemu okrętowi tysiąc czterysta sztuk, kapitanie czy nie tak?

— Ależ tak, tak! — odpowiedziałem skwapliwie; ale on zachował spokój.

— Otóż, kapitanie, możesz pan iść i powiedzieć swoim ludziom, że otrzymają tę ilość od mojego brata.

Gdym stał wtedy, o ile sobie przypominam, z rozdziawionemi ustami, dorzucił jeszcze swą zwykłą, łagodnie kojącą formułę:

— Przekona się pan, że wszystko jest w porządku, kapitanie.

— Mówiłeś pan w tej sprawie z bratem? — Wyraźnie zdjęła mnie trwoga. — I to dla mnie? Przecież on musiał wiedzieć, że tylko mojemu okrętowi zależało na workach. Jakimże w świecie sposobem — —

Znów otarł czoło. Spostrzegłem, że był ubrany z niezwykłą starannością i w odzież, której na nim przedtem nie widziałem. Unikał mego wzroku.

— Pan słyszałeś, rzecz prosta, ludzie mówią... Jest w tem dość prawdy... On... Ja... Myśmy rzeczywiście... przez wiele lat... — Głos mu się zniżył do zamierającego w śnie szeptu. — Miałem mu widzi pan, jedną rzecz do powiedzenia, rzecz, która — —

Szept ustał. Nie powie, co to była za rzecz. Mniejsza z tem. Pilno mi było zanieść nowinę najemcom, i czem prędzej wróciłem na werandę po kapelusz. Na hałas, jaki sprawiłem, dziewczyna wolno podniosła oczy i spojrzała w moim kierunku. Nawet stara ciotka przerwała swoją robótkę. Stanąłem na moment i w uniesieniu krzyknąłem:

— Z pani ojca — zuch, panno Nie-Dbam. Zuch!

Moja ochoczość była przyjęta niechętnie i z pogardliwem zdziwieniem. Gdym czmychał przez pokój stołowy, Jacobus pochwycił mnie pod ramię z niezwykłą poufałością, jakby familjanta, i, ciężko dysząc, wysapał mi propozycję względem „talerza zupy" na dzisiejszy wieczór. Odrzekłem niedbale: — „Hm? Co? A, dziękuję? Zapewne. Z przyjemnością" — i wymknąłem się. Obiadować z nim. Naturalnie. Przez samą wdzięczność — —

Ale w jakieś trzy godziny potem, w cichej i mrocznej ulicy, zabrukowanej okrąglakami, uświadomiłem sobie, że to nie sama tylko wdzięczność posuwa moje kroki do tego domu z prastarym ogrodem — tego domu, w którym od lat żaden inny gość oprócz mnie nie był na proszonym obiedzie. Sama tylko wdzięczność nie mogłaby trawić wewnętrznego systemu człowieka w tak osobliwie żrący sposób. Głód mógłby; ale do Jacobusowego wiktu głód mnie znów tak wyjątkowo nie zmuszał.

I na ten raz dziewczyna również nie chciała siąść do stołu. Brała mnie złość i rozpacz. Ciotka rzucała na mnie złośliwe zezy. Nagle rzekłem do Jacobusa: — „O, tu! Włóż no pan tu, na talerz, kawałek kurczęcia i trochę sałaty". Usłuchał, nie podnosząc oczu. Dołączyłem do tego nóż, widelec i serwetkę, i zaniosłem na ganek. Ogród z masą ciemności wyglądał jak smęt, jak cmentarz kwiatów, pogrzebanych w mroku, a ona,

wciśnięta w swój fotel, snuła, zda się, żałobne dumy nad zgonem światła i kolorów. Jedynie zalatywały duszne wonie aromatów, snać jakieś błędne, pachnące duchy tego tłumu zgasłego kwiecia. Mówiłem płynnie, z żartobliwą perswazją, czule; mówiłem przyciszonym głosem. Z samej intonacji wnosząc, możnaby było pomyśleć, że to błagalny szept kochanka. Gdym w potoku słów robił wyczekującą przerwę, za każdym razem odpowiadało mi jedynie głębokie milczenie. Było to jakby składanie ofiary przed siedzącą statuą bóstwa.

— Doprawdy, że tak się zaciąć w uporze ,to okrucieństwo. Przecież ja się dręczę.

— Co mię to obchodzi?

Miałem takie uczucie, jak gdybym jej zadawał jakiś gwałt, jak gdybym ją szarpał, może bił. Rzekłem:

— Takie zachowywanie się pani będzie miało ten skutek, że już tu więcej nie przyjdę.

— Nie dbam o to!

— Pani lubi moją obecność.

— To fałsz! — odburknęła.

Położyłem rękę na jej ramieniu, i gdyby była zrobiła jakiś odporny gest cofnięcia się, to doprawdy, myślę, żebym ją był roztrząsł. Lecz ani się ruszyła, i ten jej bezruch podziałał na mój gniew rozbrajająco.

— Tak, lubi pani. Bo czyż inaczej możnaby było panią zastać dzień w dzień na werandzie. Poco pani tu wysiaduje — pytam? Jest w domu tyle pokojów. Ma

pani swój, siedziałaby pani w nim, nie chcąc mnie widywać, Ale pani chce. I pani wie o tem, że chce.

Uczułem pod ręką drżenie i zwolniłem swój chwyt, jak gdyby przestraszony tym objawem ożywania jej ciała. Aromatyczny zapach ogrodu powiał ku nam, jak ciepła fala, podobna do wonnego, dyszącego rozkoszą westchnienia.

— Niech pan wróci do nich — szepnęła niemal tkliwie.

Gdym wchodził z powrotem do stołowego pokoju, spostrzegłem, że Jacobus spuścił wzrok. Postawiłem talerz z łoskotem na stole. Na ten demonstracyjny objaw złego humoru wymamrotał coś w przepraszającym tonie, ja zaś natarłem nań, jak gdyby obowiązany był zdać mi rachunek z tych „wstrętnych dziwactw" — bodaj że tak przeze mnie nazwanych.

Twierdzę z wszelką pewnością — rzekłem — wyniośle — że kto jak kto, ale pani Jacobus tu jest odpowiedzialna za większość tych gorszących narowów.

Z miejsca odpisnęła mi w swój arogancki, gburowaty sposób:

— E? Dlaczegoż pan nie chcesz zostawić nas w spokoju, mój dobry człowiecze?

Byłem zdumiony jej czelnością wobec Jacobusa. Choć właściwie, czemżeż on ją mógłby ukrócić. Była mu za bardzo potrzebna. Podniósł ociężałe, senne oczy na chwilę i zaraz je spuścił. Ta zaś dowrzeszczała swą ostateczną konkluzję:

— Toć przecież już załatwiliście z sobą wasz interes, wy dwaj? No, zatem — —

Babsko to posiadało wierutny bezwstyd Jacobusów. A ta jej szaro-siwa czupryna o męskiem uczesaniu — z szelmowskim przedziałem na boku!... Już już zdawało się, że baba pogrąży w niej widelec, jak to zwykła była czynić z drutem od pończoch, ale jakoś wstrzymała się. Jej czarne oczki iskrzyły się jadowicie. Odwołałem się do siedzącego na honorowem miejscu gospodarza — w sposób, że tak powiem, groźny:

— A więc, panie Jacobus, cóż pan na to? Czy mam przyjąć to w znaczeniu, żeśmy już z sobą skończyli?

Na odpowiedź musiałem chwilę czekać. Była raczej niespodziewana i w zgoła innym duchu niż pytanie.

— Moglibyśmy poniekąd zrobić jeszcze, jak mniemam, kapitanie, ten interes z mojemi kartoflami. Przekona się pan, że — —

Wlot mu przerwałem.

— Jużem panu oświadczył raz, że nie handluję.

Szeroka jego pierś wzdęła się i zapadła w niedosłyszalnem westchnieniu.

— Pomyśl pan jeszcze nad tem, kapitanie — wyszeptał z namolną powolnością; a ja wybuchnąłem zgrzytliwym śmiechem, przypomniawszy sobie jego włóczenie się za tą woltyżerką cyrkową — głębię zakochania pod tą cichą powierzchnią, która nawet smagana pejczem (tak jest w legendzie), nie była zdolna rozsrożyć się choćby tylko do jakiegoś pozoru burzy;

byłoby to coś nakształt rybiej namiętności, gdyby można było wystawić sobie takie pojęcie jak namiętna ryba.

W ten wieczór — bardziej niż kiedykolwiek — doznałem uczucia moralnej zgagi, której zawsze nabawiałem się w tym domu, obciążonym kondemnatą wszystkich ludzi „przyzwoitych". Nie chciałem zostać po obiedzie na poczęstunek cygarem a gdy wkładałem rękę w poduszkowatą dłoń Jacobusa, rzekłem sobie, że to już będzie po raz ostatni pod jego dachem. Mimo to jednak uścisnąłem to jego masywne łapsko serdecznie. Na kilka słów wdzięczności, które czułem się w obowiązku i doprawdy, z szczerą chęcią, wyrazić, odpowiedział, rozciągając zwarte usta w melancholijny, sklejony uśmiech.

— Ta rzecz, ufam, będzie w porządku, panie kapitanie — sapnął ważko.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytałem z trwogą. — Że pański brat mógłby — —

— O, nie — rzekł uspokajająco. — On... Ten człowiek dotrzymuje słowa, kapitanie.

Gdym opuścił progi tego domu, jak mniemałem, już po raz ostatni, moje obcowanie z własnem sumieniem nie zadowalniało mnie. Spostrzegłem się, że w swych rozważaniach pobudek Jacobusa nie byłem szczery i, oczywiście, zaraz nazajutrz tam powróciłem.

O jakże jesteśmy słabi, nierozumni i niedorzeczni!

I tak łatwo dajemy się ponieść wówczas, gdy nasza podniecona wyobraźnia skłoni nas ku drażniącemu podszeptowi żądzy! Obchodziła mnie ta dziewczyna nadzwyczaj; ujęła mnie posępnym wyrazem twarzy, upartem milczeniem, rzadkiemi, wzgardliwemi słówkami; zbałamuciła mnie swym wiecznym dąsem na zaciśniętych ustach, czarną głębią swego zwolna podnoszonego na mnie i nieruchomo utkwionego we mnie spojrzenia, jak gdyby wyzywającego, poto, ażeby zaraz w następnej chwili odwrócić się ode mnie z rozpaczliwą obojętnością!

Naturalnie wieść o mojem przesiadywaniu tam rozniosła się po całem miasteczku. Zauważyłem pewną zmianę w sposobie zachowania się moich znajomych i nawet niejaką różnicę w kłanianu mi się innych kapitanów, z którymi spotykałem się czy na schodni przystanku, czy w biurach, dokąd powoływały mnie interesy. Ow, na modłę staropanieńską sfasonowany, prokurent traktował mnie z oddalającą, najeżoną szpileczkami ceremonjalnością i, że tak powiem, zakasując rąbek sukienki, aby jej nie splugawić. Zdawało mi się że gdy szedłem wybrzeżem, najbardziej murzyńskie negry oglądały się za mną; co zaś do Jacobusowego przewoźnika, to jego „Dobranoc psze-pana", gdy wysadzał mnie na pokład, już nie było poprostu serdeczne, ale miało ton zażyłej poufałości konfidenta i współuczestnika w jakiemś łajdactwie.

Mój przyjaciel S. — starszy, mijając się ze mną

po drugiej stronie ulicy, przesłał mi ręką pozdrowienie z ironicznym uśmieszkiem. Młodszy brat, którego ożeniono z podstarzałą sekutnicą, ten, z tytułu dawnej przyjaźni, oraz jak gdyby uiszczając się z długu wdzięczności, pozwolił sobie na słówko ostrzeżenia.

— Niedobrze pan sobie poczyna w wyborze przyjaciół, stary druhu — rzekł z dziecinnem namaszczeniem.

Ponieważ wiedziałem, że spotkanie braci Jacobus pobudziło wszystek ogół cukrowej Perły Oceanu do zacietrzewionych komentarzy, byłem ciekaw, zaco mnie ganią.

— Ja spowodowałem ten pierwszy krok, wiodący do ostatecznego pojednania, którego należy sobie życzyć ze względów przyzwoitości — nie wie pan o tem?

— Naturalnie, o ileby można było pozbyć się tej dziewczyny, ułatwiłoby to — — rozważał z miną mędrca; wtem, zmienne stworzenie, klepnął mnie w dolną część kamizelki. — Stary grzeszniku — zawołał jowjalnie: — dużo pan tam sobie robisz z przyzwoitości. Ale nie zawadziłoby trochę więcej oglądać się na siebie, wie pan, z takim osobnikiem, jak ten Jacobus, który nie ma już nic do stracenia ze swej reputacji.

To mówiąc, przybrał znów powagę szanującego się obywatela i dorzucił ubolewającym tonem:

— Wszystkie panie w naszem kółku rodzinnem są zgorszone.

Atoli poniechałem już był tymczasem wizyt i w kółku rodzinnem S. — — i w kółku rodzinnem D. — — Panny co starsze, robiły na mój widok takie twarze, a krewna ciżba młodych panienek przyjmowała mnie z takiem urozmaiceniem spojrzeń: bojaźni, podziwu, wyśmiechu (oprócz panny Mary, która rozmawiała ze mną i patrzała na mnie z kojąco-bolesnem współczuciem, jak na chorego), — że bez wielkiej trudności zerwałem z niemi wszystkiemi. Oddałbym był towarzystwo całego miasta za przesiadywanie u tej dziewczyny, odburkującej, pysznej i zgoła w nic nie odzianej poza tą swoją wiotką, bursztynową matinką, z głębokiem u szyi otwarciem. Wyglądała tak z dzikiemi kosmami włosów, ofrędzlającemi jej twarz o podnieconym wyrazie, jak gdyby co tylko wyskoczyła z paniki pożaru.

Siedziała, wsparta na łokciu, ze wzrokiem na nic nie skierowanym. Dlaczego wytrzymywała moją bezmyślną gadaninę? I nietylko to; ale czemu pudrowała się na moje przyjście? Mogłoby to być jej poglądem na robienie tualety, co, wobec jej rozwiązłej opieszałości, byłoby znakiem ogromnego wysiłku dla przyozdobienia swej osoby.

Ale mogłem się mylić. Pudrowanie się mogło być jej codziennem przyzwyczajeniem, a jej obecność na werandzie mogła znamionować obojętność, posuniętą do tego stopnia, że nie liczyła się z mojem istnieniem. Dobrze, wszystko mi było jedno.

Lubiłem się przyglądać jej powolnie dokonywanym zmianom pozy, obejmować wzrokiem długie znieruchomienia ułożonych z wdziękiem linij jej ciała, obserwować tajemniczo skupione zapatrzenia się jej wspaniałych czarnych oczu, o zlekka wydłużonym kształcie, cokolwiek przymkniętych kontemplacyjnie i utkwionych w próżni. Była jak zaklęty twór jakiś o czole bogini, które wieńczył przepych rozczochranych włosów cygańskiej latawicy. Nawet jej obojętność miała w sobie coś uwodzicielskiego. Czułem, że coraz bardziej przywiązuję się do niej pętem jakiejś nieziszczalnej żądzy, bo głowę miałem nie zawróconą — bynajmniej. I nie robiłem sobie już nic z przykrego samopoczucia moralnego, w które zazwyczaj wtrącała mnie senna czujność Jacobusa, tak spokojna niby, a wyrazista: jak gdyby jakiś milczący pakt został zawarty między nami dwoma. Otrzaskałem się z zuchwalstwem starej, puszczając mimo uszu: „Czy nie zechciałbyś pan zostawić nas w spokoju, mój poczciwcze?". Przywykłem do jej szyderstw, oswoiłem się z tą zatraconą sekutnicą o miedzianem czole. Była to nieodrodna płonka ze szczepu Jacobusowego.

Bezpośrednio po odejściu od dziewczyny wymyślałem sam sobie najostrzejszemi słowami. Coby miało znaczyć to szaleństwo? — dopytywałem się samego siebie. Był to jakby niewolniczy, upadlający nałóg. I powracałem do niej, mając głowę niezamąconą, serce z pewnością wolne i nawet próżne litości dla tej po-

rzuconej (a porzucenie to nie było znośniejsze od położenia rozbitka na bezludnej wyspie), — lecz wracałem, jak gdyby omamiony jakąś nadzwyczajną obietnicą. Trudno sobie wyobrazić cośkolwiek mniej godziwego. Wspomnienie jej drżącego szeptu, gdy jedna moja ręka legła na jej ramieniu, a drugą trzymałem talerz z kurczęciem, wystarczało mi do łamania wszystkich mych cnotliwych postanowień.

Samo jej obelżywe milczenie mogło nieraz doprowadzić człowieka do wściekłego zgrzytu zębami. A jeżeli odmykała usta, to jedynie poto, aby szkaradnie, po prostacku, cierpkim tonem odfuknąć coś wspólnikowi jej potępionego ojca, ku zupełnemu zadowoleniu starej ciotki, która potakiwała jej urągliwym chichotem. Gdyby nie to, odezwania się jej, wypowiadane zawsze z intonacją zabójczo lekceważącą, byłyby przeraźliwie pozbawione treści.

Jakżeby mogło być inaczej? Ta łotrzyca, to pękate Jacobusowskie stare pudło nie nauczyło jej wcale grzeczności. Grzeczność, przypuśćmy, niekoniecznie łagodzi fakt, że ktoś się urodzi wyrzutkiem. Żaden zakład wychowawczy nie dałby się namówić do przyjęcia jej na wychowankę, a to, jak sądzę, ze względu na przyzwoitość. A Jacobus nie umiał się zdobyć na wysłanie jej dokądkolwiek bądź indziej, Jakżeby on to zrobił? Z kim? Dokąd? On sam zbyt mało posiada w sobie awanturniczości, ażeby pomyśleć o jakiem innem osiedlisku. Namiętność miotała nim, uczepionym cyrko-

wych tyłów, rzucając go na obczyźnie ze strandu na strand, lecz po uciszeniu się burzy, przydryfował — przywlókł się bezwstydnie tu, gdzie będąc rozbitkiem, pozostał jednak latoroślą Jacobusów, jednego z najstarszych rodów na wyspie, nawet starszego od francuskich. Jakiś Jacobus musiał być już przy zgonie ostatniej dronty...[1]). Dziewczyna nie uczyła się niczego, nigdy nie zaznała rozmów towarzyskich, nie miała żadnej wiedzy, nie słyszała o niczem. Umiała czytać, zapewne, lecz całą dostępną dla niej lekturę stanowiły dzienniki, otrzymywane z kapitańskiej izby Jacobusowego „składu". Jacobus miał zwyczaj co pewien czas zabierać do domu te zadrukowane płachty, splamione już i ponaddzierane.

Ponieważ jej umysł nie potrafił uchwycić znaczenia żadnej z poruszanych tam treści, oprócz sądowo-policyjnych sprawozdań i kroniki przestępstw, utworzyła była sobie pogląd na świat cywilizowany, jako na scenę morderstw, porywań, włamywań, okropności zabójstw i wszelkiego rodzaju desperackich gwałtów. Anglja i Francja, Paryż i Londyn (dwa miasta, o których zdaje się słyszała) w jej pojęciu były to ścieki ohyd, dymiące krwi oparem, w przeciwstawieniu do jej wysepki, gdzie drobna kradzież była prawie miernikiem bieżących złoczyństw, jeśli pominąć trafiający się od czasu do czasu głośniejszy występek — i to jedynie wśród kulisów, sprowadzonych do robót na plan-

1) *Didus ineptus.*

tacjach cukru, albo też pośród miejscowych murzynów. Ale w Europie te rzeczy działy się codzień, spełniane przez złych ludzi białych, między którymi, jak wytykała palcem ta wszeteczna, arystokratyczna stara pani Jacobusowa, żeglarze wędrowni, konszachtujący z jej szacownym ojczulkiem, byli z podłych najpodlejsi.

Nie można jej było dać pojęcia o proporcji. Anglja, przypuszczam, w jej wyobraźni miala obwód mniej więcej taki, jak Perła Oceanu; a wtedy rzeczywiście mógł ten nieduży obszar wydawać się jej całkowicie zapełnionym wyziewami krwi i dymem ze zgliszcz splądrowanych co do jednego domów. Nie mogła zrozumieć tłumaczenia, że te straszne rzeczy, któremi karmiła wyobraźnię, giną w całości unormowanego życia, tak jak znikoma ilość kropel krwi roztapia się w oceanie. Zwracała na mnie przymrużone oczy, patrzała chwilę niepojętnem spojrzeniem i odwracała pogardliwą, upudrowaną twarz, nie rzekłszy ni słowa. I żeby choć zadała sobie trud wzruszenia ramionami.

W tym czasie ostatnia poczta przywiozła najświeższy wypiek dzienników, donoszących o szeregu zbrodni w londyńskiem East-Endzie i, między innemi, o sensacyjnem porwaniu we Francji i o *cudownie* zorganizowanym i *ślicznie* wykonanym zbrojnym rabunku w Australji. Pewnego popołudnia, przechodząc przez pokój stołowy, usłyszałem na werandzie piskliwy głos pani Jacobusowej, wrzeszczącej z jadowitą zawziętością:

„Nie wiem, co twój szacowny tatuś knuje z tym drabem. Ale to jest właśnie taki pan, który byłby zdolny uprowadzić cię w jaki daleki kąt, a potem, którego dnia, poderznąć ci gardło dla twoich pieniędzy".

Z pół werandy dzieliło ich fotele jeden od drugiego. Wszedłem groźnie i zająłem krzesło pomiędzy niemi, w samym środku.

— Tak jest, my *to* właśnie robimy z dziewczętami w Europie — zacząłem strasznym, rzeczowym tonem. Pani Jacobus była, zdaje mi się, mocno stropiona mojem niespodzianem wejściem. Zwróciłem się do niej z wyrazem zimnego okrucieństwa.

— A co się tyczy starych, niecnych bab, to naprzód dusi się je zwolna, potem kraje na kawałeczki i rzuca precz, jeden kawałek tu, drugi tam. Znikają.

Utrzymywać, że ją przeraziłem, byłoby twierdzeniem za daleko idącem. Ale zmieszała ją moja dzikość, tem bardziej, że zawsze zwracałem się do niej z grzecznością, której nie była warta. Pulchne jej ręce z robótką osunęły się pomału na kolana. Nie odzywając się słówkiem, siedziała pod utkwionem w nią mojem spojrzeniem, srogiem i zdecydowanem. A gdy nareszcie odwróciłem od niej oczy, położyła zwolna robótkę i niedosłyszalnym krokiem wycofała się z werandy. Faktycznie zniknęła.

Ale nie ona mnie obchodziła. Patrzałem na dziewczynę. Jej to gwoli przychodziłem tu dzień w dzień, zaniepokojony, zawstydzony, płonący; tu, blisko niej,

znajdowałem upojenie zmysłowe, któremu pobłażałem z trwogą, z samopogardą i z głębokiem uczuciem rozkoszy, jak gdyby to była jakaś tajemna zdrożność, mająca mnie zgubić, jakiś nałóg tego czy innego ohydnego występku, który rujnuje i znikczemnia swoich niewolników.

Patrzałem na nią, lustrując ją spojrzeniem od czubka rozczochranej głowy, po spadzie wdzięcznej linji ramion, po wypukłości bioder, wzdłuż smukłego kształtu udrapowanych członków, aż do samego dołu cienkiej w przegubie kostki pod zdartą, zbrukaną falbaną; i aż do szpica lichego, niebieskiego, o wysokim obcasie pantofelka, spadającego z jej foremnej nóżki, którą zlekka potrząsała szybkim, nerwowym ruchem, jak gdyby zniecierpliwiona moją obecnością. I w zapachu wszechkwiecia zdawało mi się, że wdycham jej osobliwy, niedocieczony powab, arcyperfumę owej wiecznie rozdrażnionej branki tego ogrodu.

Przypatrywałem się zaokrągleniu jej podbródka, podbródka Jacobusowego; odętym grymaśnie, czerwonym ustom w wybielonej pudrem twarzy; zdecydowanej modelacji policzków, okruszynom bielidła na włosach brwi, prostolinijnych i posępnych; oczom podłużnym, łyskającym wąziutką smużką płynnego białka i nieruchomą, intensywną czernią, oczom w coś tak bez myśli utkwionym i tak stałością tego zapatrzenia pochłoniętym, jak gdyby dziewczyna zagapiła się w swój własny, zda się, wizerunek samotny, odbity w jakiemś

niewidocznem dla mnie zwierciadle, opodal, między drzewami.

I raptem, nie podnosząc na mnie wzroku, jakby mówiąc do siebie, głosem zlekka chrapliwym, a przecież melodyjnym, i wciąż z irytacją, spytała:

— Dlaczego pan tu przychodzi i przychodzi?

— Dlaczego ja tu przychodzę i przychodzę? — powtórzyłem zaskoczony: Nie umiałem odpowiedzieć. I nawet samemu sobie nie mogłem powiedzieć szczerze, dlaczego tu przychodzę. — Nacoż się zdało zapytywać mnie o taką rzecz?

— Nic, wszystko nanic — rzekła w próżnię, z podbródkiem podpartym ręką, tą ręką, która nie wyciągała się nigdy ku żadnemu mężczyźnie, której nikt nie ujmował — gdyż nawet ja raz ująłem ją tylko za ramię, — ta szlachetna, wytworna, cokolwieczek męska ręka. Dobrze znałem ten szczególnie udatny kształt — szeroki w osadzie, wrzecionowato ścieniony w palcach — kształt ręki, dla której wszystko na świecie było tak nieuchwytne. Spróbowałem udanej wesołości.

— Nie! Czy rzeczywiście zależy pani na tem, żeby wiedzieć?

Wzruszyła niedbale wspaniałemi ramionami, z których podniszczona cienka zarzutka trochę się zsunęła.

— O, mniejsza o to — mniejsza o to!

Pod powłoką znudzenia tliło się coś jakby przygaszonego. Rozjątrzyła mnie swoją wyzywającą nonszalan-

cją, jakąś wykrętną prowokacją, której istoty chciałem dociec. Rzekłem brutalnie:

— Więc co? Czy pani myśli, ze nie powiem pani prawdy?

Zerknęła na mnie z pod oka przelotnie i wyszeptała samemi tylko nabrzmiałemi dąsem wargami:

— Ja myślę, że pan nie będzie śmiał.

— Czy pani sobie wystawia, że się pani boję? Co u licha... Otóż, a zresztą może być, że ja dokładnie nie wiem, poco tu przychodzę. Powiedzmy z panią Jacobus, że po nic dobrego. Chociaż miewa pani z nią utarczki od czasu do czasu, ale zdaje się, że pani wierzy jej uwłaczającym mi bredniom.

Odrzekła cierpko:

— A komuż innemu mam wierzyć?

— Nie wiem — musiałem wyznać, ujrzawszy ją nagle bez żadnego oparcia i werdyktem szanownego towarzystwa moralnie wyobcowaną. — Mnie pani może wierzyć, jeśli chodzi o wybór.

Poruszyła się zlekka i spytała natychmiast, jak gdyby usiłując mnie wybadać:

— Co pan ma za interes z papą?

— Czyżby pani nie wiedziała, jaki jest rodzaj zajęć pani ojca? No, no!... Sprzedaje prowianty okrętom.

Znów zesztywniała w swej skurczonej pozie.

— Nie to. Co sprowadza pana tu — do tego domu?

— A jeżeli powiem że to pani? Czy nie nazwie pani tego interesem? Nieprawdaż? Ale dość, porzućmy

ten przedmiot. To do niczego nie prowadzi. Mój okręt będzie gotów do morza na pojutrze.

Szepnęła — najwyraźniej przestraszona: „Tak niedługo", zerwała się raptem, podeszła do stolika i nalała sobie szklankę wody. Szła prędko, z całym wdziękiem gibkiej dziewczęcości. Gdy, mijając, przechodziła obok mnie, odczułem z dziesięciokrotną mocą urok tego charakterystycznego, obiecującego wstrząsu zmysłowego, po który zbliżać się do niej stało się moim nałogiem. I pomyślałem z nagłą trwogą, że oto już temu koniec; że jeszcze jeden dzień, a potem nie będę miał możności przychodzenia na tę werandę, siadywania na tym fotelu i delektowania się perwersyjnie smakiem jej póz niedbałych, tchnących pogardą; nie będę napawać się pobudliwością jej lekceważących zerknięć i ulegle słuchać jej krótkich, zuchwałych uwag, rzucanych tym szorstkim a przecież zniewalającym głosem. Jak gdyby rdzeń mej istoty odmienił się pod działaniem jakiejś trucizny moralnej, doznałem raptownego, przejmującego wstrętu do wyruszenia na morze.

Musiałem użyć całej siły panowania nad swemi ruchami, tak jak na pomostku okrętowym, ażeby ustrzec się skoków, koziołkowań, wykrzykiwań, gestykulowania, zrobienia jej sceny. Poco? O co? Nie miałem wcale pojęcia. Ot tak, korciło mnie, by pofolgować sobie przez jakiś gwałt; lecz wciskałem się w fotel, starając się nie psuć nadanej mym wargom formy uśmiechu, tego pół-wyrozumiałego, pół-drwiącego uśmie-

chu, który był mi tarczą przeciwko strzałom jej pogardy i przeciw obelżywym docinkom, miotanym pod moim adresem przez starą babę.

Dziewczyna wypiła wodę jednym haustem, z chciwością szalonego pragnienia i bezwładnie osunęła się na najbliższe krzesło, jak gdyby w zupełnem znękaniu. Jej pozycja, tak jak i pewne tony jej głosu miały w sobie coś męskiego: rozstawione w przestronnym szlafroku kolana, zwieszone pomiędzy niemi załamane ręce, ciało jej podane naprzód ze spuszczoną głową. Zapatrzyłem się w obciążający ją splot zwiniętych czarnych loków, ogromny wieńczył jej pochyloną głowę koroną przygniatającego, wzgardzonego przepychu. Z korony tej zwieszały się strzępy luźnych kosmyków. I nagle spostrzegłem, że dziewczyna drży od stóp do głowy, jak gdyby ta szklanka zimnej wody z lodem zmroziła ją do szpiku kości.

— Cóż tam znowu? — rzekłem trwożnie, choć niezbyt współczująco.

Zatrzęsła ku dołowi przygiętą, przeciążoną głową i krzyknęła zduszonym, lecz stopniowo rosnącym w napięciu głosem:

— Precz! Precz! Precz!

Wstałem tedy i zbliżyłem się ku niej z dziwnym rodzajem zaniepokojenia. Popatrzałem na jej okrągły, silny kark, potem schyliłem się, ażeby zajrzeć jej w twarz. I zacząłem sam lekko drżeć.

— Cóż to za historje pani wyrabia, panno Nie-Dbam?

Gwałtownie rzuciła się wtył, głową poza oparcie krzesełka. I teraz jej równo utoczona, pełna drgająca szyja ukazała się memu zachwyconemu wejrzeniu. Jej oczy były prawie zamknięte, z prześwitującem tylko strasznie z pod powiek białkiem, jak gdyby już nie żyła.

— Co pani jest? — spytałem z trwogą. — Jakim lękiem pani się dręczy?

Zebrała się w sobie. Oczy jej były teraz wielkie, szeroko otwarte. Przedwieczór tropikalny wydłużał cienie na rozprażonej, uznojonej ziemi, na tem siedlisku zawiłych pożądań, oszalałych nadziej, gróz przechodzących wyobraźnię.

— Mniejsza o to! Nie dbam! — Odetchnęła i w tem zaczęła mówić z tak przeraźliwą szybkością, że ledwie mogłem uchwycić sens tych osłupiających wyrazów: — Bo nawet gdyby mnie pan miał zamknąć w jakiem pustem miejscu, tak zupełnie dookoła gładziutkiem, jak moja dłoń, to i tak mogę się zadusić swemi włosami.

Przez chwilę, nie wierząc własnym uszom, byłem pod drżeniem tego niezrozumiałego splotu wyrazów. Kto kiedy może zgadnąć, jakie dzikie myśli przewijają się przez głowy naszych bliźnich. Co za potworne przywidzenia mogły się były ulokować pod niskiem czołem tej dziewczyny, w którą wmówiono, że jej ojciec jest

„zdolny do wszystkiego", a to „wszystko" oświetlono bardziej ze strony nieszczęścia niż hańby, jako coś, naturalnie, czego trzeba nienawidzieć i raczej bać się, aniżeli się tego wstydzić. Jakoż, zdawało się, że wstyd dla niej jest taką niespodzianką, jak i cokolwiek bądź innego na świecie; a ciemnota dziewczyny nadawała jej nienawiści i obawie formę dziecinną i gwałtowną.

Oczywiście, mówiła, nie znając wartości słów. Cóż mogła wiedzieć o śmierci — ona, która nie wiedziała nic o życiu? Jawnym dowodem opętania jej przez nienawiść i strach były te jej nadzwyczajne słowa, które nie poruszyły we mnie litości, nic, tylko jakieś oszołomienie, przerażenie, zdumienie. Bynajmniej nie domyślałem się, jak ona przedstawia sobie grożące jej niebezpieczeństwo. Coś w rodzaju porwania. Być może, wywnioskowała to z gadanin tej obmierzłej baby. Myślała snać, że mogą jej związać ręce i nogi, nawet zakneblować usta i gdzieś ją zawieźć. Gdym sobie to wyyobraził, uczułem, jakby przedemną otwarto nagle pałającą czeluść wielkiego pieca.

— Daję słowo honoru! — krzyknąłem. — Pani zwariuje wkońcu, słuchając tej obrzydliwej swej ciotki — —

Zastanowił mnie jej błędny wyraz, jej drżące usta. Nawet policzki jej były trochę jakby wpadnięte. Ale cóż ja, wspólnik zniesławionego jej ojca, ja, w zbrodniczej Europie „najpodlejszy z podłych", co mógłbym począć dla dodania jej otuchy; nie miałem o tem najmniejszego pojęcia. Doprowadzała mnie do rozpaczy.

— Na miłość Boską! Co pani ma na myśli? Co ja za krzywdę mogę pani zrobić?

— Nie wiem.

Z pewnością drżał jej podbródek. Patrzała na mnie z najwyższą uwagą. Zbliżyłem się o krok do jej krzesła.

— Nie zrobię nic. Przyrzekam to pani. Czy to dostateczne? Czy pani zrozumiała? Nie zrobię nic a nic, a pojutrze odjeżdżam.

Cóż innego mogłem powiedzieć? Zdawała się chłonąć moje słowa z taką samą łapczywością, z jaką wypiła była szklankę wody. Załamującym się, rzewnym tonem, który już raz przedtem na jej ustach słyszałem i który znów mnie przeniknął nawskróś tem samem wzruszeniem, szepnęła.

— Panubym wierzyła. Ale co do papy — —

— Bierz go licho! — Moje wzruszenie zdradziło się aż brutalnością tonu. — Dosyć mam już tatusia pani. Czy pani jest tak nierozsądna, by myśleć, że ja się go boję? On nie może mi nic zrobić.

Wszystko to brzmiało mi za słabo dla jej niewiedzy. Lecz muszę stwierdzić, że „akcent szczerości", jak powiadają, ma nieprzepartą władzę. Skutek daleko przeszedł moje oczekiwanie i nawet pojęcie. Obserwacja zmian, zachodzących w dziewczynie, miała podobieństwo do przypatrywania się cudowi — stopniowej ale szybkiej uldze w natężonym wzroku, w napiętych kurczowo mięśniach, w każdem włókienku jej ciała. To czarne, nieruchomo wlepione spojrzenie,

w którem niejeden raz czytałem jakiś zamysł tragiczny, jakąś chmurną zadumę, która mnie zwodziła, najzupełniej było teraz puste, próżne świadomego rozeznania czegokolwiek i nawet nie dostrzegające już nadal mojej obecności; stało się cokolwiek senne, na wzór Jacobusowego.

Atoli, z przewrotnością ludzkiej bestji właściwą, zamiast się całkowitem mojem powodzeniem cieszyć patrzałem na to zdumionym i oburzonem okiem. Jakiś cynizm był w tem nietajonem przeinaczeniu się, prawdziwy bezwstyd Jacobusowski. Czułem, jak gdyby mnie oszukano w jakiejś nieco zagmatwanej grze, do której wszedłem wbrew zdrowemu rozsądkowi. Tak jest, oszukano mnie, z bezwzględnem pominięciem chociażby form przyzwoitości.

Lekkim, niedbałym i w swej niedbałości zwinnym, kocim ruchem wstała z krzesła, z takiem teraz o mnie prowokującem zapomnieniem, że w istnym napadzie gniewu nie cofnąłem się z miejsca, choć byłem tuż przy niej, na odległość mniejszą od stopy. Swobodnie i powolutku, z nonszalanckiem wręcz w stosunku do mnie zachowaniem się osoby w pokoju samej, wyciągnęła swe przecudne ramiona, z zaciśniętemi piąstkami, rozkołysana, z głową przegiętą zlekka wtył, z pogardliwą beztroską uwydatniając swe kształty, dla ulżenia im, pozwalając im rozprężyć się wygodnie po wszystkich tych dniach pozy skurczonej, drętwej w bezruchu, gdy była tak wściekła i tak nastraszona.

A wszystko to z obojętnością najwyższą, niewiarogodną, obrażającą, oburzającą jak niewdzięczność, podszytą zdradą.

Powinnoby to mi było schlebiać może, lecz, naodwrót, gniew mój wzrastał; a z chwilą, gdy chciała przejść koło mnie, jak gdybym był słupem drewnianym lub kawałkiem mebla, nieuważne jej poruszenie doprowadziło mnie do furji.

Nie chciałbym zapewniać, jakobym nie wiedział, co robię, lecz zimna rozwaga napewno nie miała nic do czynienia w tej okoliczności, nagle bowiem oba moje ramiona owiły się wokół jej stanu. Był to uczynek popędliwy, taki jak przy chwytaniu czegoś upadającego lub wymykającego się; nie był też obłudnie delikatny. Nie zdążyła wydać głosu, i mój pierwszy pocałunek, który zaszczepiłem na jej zwartych ustach, miał tyle, ile trzeba, zjadliwości, ażeby być ukąszeniem.

Nie broniła, i oczywiście nie poprzestałem na jednym. Przyzwalała, bynajmniej nie martwo — czułem ją tuż przy sobie młodą, w pełni rozkwitu sił, życia, mocy, pożądaną, lecz, jakgdyby w absolutnej pewności swego bezpieczeństwa, nie troszczącą się wcale o to, co czynię lub czynić zaniecham. Gdy w tej burzy pieszczot na chybi-trafi przywarci byliśmy do siebie twarzą w twarz, jej wielkie, czarne, szeroko otwarte oczy tonęły w moich, lecz nie było z nich widać, że dziewczyna jest bądź zagniewana, bądź zadowolona, bądź wzruszona w jakikolwiek sposób wogóle. W tym

jej bacznym wzroku, który zdawał się być niezainteresowanym osobiście świadkiem mego szaleństwa, zdołałem wykryć pewne leciuchne zdziwienie — nic ponadto. Szorowałem jej twarz ulewą pocałunków i nie było zda się, żadnej racji, dla którejby ta czynność nie miała trwać wiecznie.

Po tym przebłysku myślowym już-już byłbym zaprzestał, gdy naraz ona zaczęła niespodziewanie szamotać się i ze wszystkich sił dobijać się uwolnienia nagwałt, natychmiast; to mię oburzyło i podnieciło moje przeciw niej rozjątrzenie do istnej dzikiej żądzy nie wypuszczania jej z objęć już nazawsze.

Zacieśniłem wporę oplot, dysząc: — Nie, nie ujdziesz mi! — jak gdybym miał do czynienia z śmiertelnym wrogiem. Co do niej, nie wymówiła ani jednego słówka. Wpartemi w moją pierś rękami odpychała mnie z całej siły, nie mogąc przełamać uścisku opasujących ją ramion. Pominąwszy to, że najzupełniej teraz, zda się, wytrzeźwiała, oczy jej nie dawały mi żadnego dla jakiejkolwiekbądź orjentacji wątku. Spotykając się z jej czarnem, wlepionem we mnie spojrzeniem, zdawało mi się, jakbym patrzał w głęboką studnię, i całkiem nie byłem przygotowany na zmianę taktyki. Nie usiłując rozerwać mych rąk, cisnęła mi się na pierś i ruchem falistym, wężowym, ześliznąwszy się prędko wdół, jak przy nurkowaniu, wysunęła mi się zręcznie. Odbyło się to bardzo szybko; ujrzałem, jak chwyciła tren swej zarzutki i pobiegła ku drzwiom na końcu werandy nie za-

nadto zgrabnie — wydało mi się, że nieco — kuleje — a potem zniknęła; drzwi obróciły się za nią tak bezszelestnie, że nie mógłbym wierzyć w to, czy je na dobre zamknęła. Podejrzewałem, owszem, że czarne jej oko pogląda teraz przez szparkę, co też ja porabiam. A ja nie mogłem się zdecydować, zali mam w tym kierunku pogrozić pięścią, czy wysłać całus powietrzny.

VI

Ani jedno, ani drugie nie odpowiadało moim uczuciom. Zapatrzony we drzwi, namyślałem się i wkońcu nie zrobiłem ani tak, ani owak. Napomnienie jakiegoś szóstego zmysłu — być może zmysłu poczuwania się do winy, tego zmysłu, który zawsze działa, niestety, poniewczasie — ostrzegło mię, że trzeba się obejrzeć, i naraz uświadomiłem sobie, że w zakończeniu tego burzliwego epizodu zanosi się na coś, co może nastręczyć powód do żywej obawy. We drzwiach stołowego pokoju stał Jacobus. Jak długo tam się znajdował, nie można było zgadnąć; przypomniawszy sobie walkę z dziewczyną, pomyślałem, że musiał być jej niemym świadkiem od początku do końca. Lecz to przypuszczenie wydawało się zbyt nieprawdopodobne. Może ta niepojęta dziewczyna usłyszała jak wszedł i zdążyła umknąć.

Wkroczył na werandę w swój zwykły sposób, ze spuszczonemi powiekami, ze sklejonem ustami. Ude-

rzyło mnie podobieństwo dziewczyny do tego człowieka. Te podłużne oczy egipskie, to niskie czoło głupiej bogini znalazła w trocinach areny cyrkowej; ale reszta twarzy, rysunek i modelacja, zaokrąglony podbródek, te same usta — wszystko to było z Jacobusa, wysubtelnione jednak, bardziej wykończone, wyrazistsze.

Gruba jego ręka spadła z krzepkim uchwytem garści na poręcz lekkiego krzesła, (porozstawiane były tu i owdzie) i spostrzegłem w końcu tego wszystkiego możliwość jakiejś rozłupanej głowy — najprawdopodobniej. Doznawałem zgryzoty w najwyższym stopniu. Będzie straszna awantura, to było nieuniknione. Jak się wywiązać z tego zręcznie nie wiedziałem. Miałem się na baczności i na wszelki wypadek, przybrałem pozycję czołową. Narazie nie pozostawało mi nic innego. Co do jednej rzeczy miałem pewność, że moja postawa, jakkolwiek czelna, nie może się równać bezwstydowi, cechującemu Jacobusa.

Melancholijnym grymasem sklejonych warg uśmiechnął się do mnie i usiadł. Wyznaję, że odetchnąłem. Perspektywa przejścia od pocałunków do bójki nie miała w sobie nic tak dalece ponętnego. A może — a może nic nie widział? Zachowywał się jak zwykle, ale nigdy przedtem nie zastawał mnie był na werandzie samego. Jeśliby na tę okoliczność zwrócił uwagę, zapytując naprzykład: „Gdzie Alicja?" lub inaczej, mógłbym coś wywnioskować z jego tonu. Ale nie dał

mi tej sposobności. Szczególniej uderzające było to, że wcale na mnie nie patrzał. Wie — powiedziałem sobie w duchu. I pogarda moja dla niego ulżyła memu samowstrętowi.

— Pan dziś wcześnie w domu — zauważyłem.

— Mały ruch. Niema co robić w sklepie dzisiaj — wyjaśniał z opuszczonemi wdół oczyma.

— Aha, otóż, jak panu wiadomo, odjeżdżam — rzekłem, czując, że może to było najwłaściwsze.

— Tak jest — odsapnął: — pojutrze.

Nie oto mi chodziło; lecz widząc, że wciąż ma wzrok utkwiony w podłogę, spojrzałem i ja w tym kierunku. Wśród absolutnej ciszy, która objęła dom, wpatrywaliśmy się w zgubiony przez uciekającą dziewczynę pantofelek o wysokim obcasie. Zapatrzyliśmy się nań. Leżał do góry podeszwą.

Po jakiejś chwili, która mi się wydała nieskończenie długą, Jacobus, suwając krzesełkiem, podsunął się ku niemu, nachylił z wyciągniętą ręką i podniósł go. Przedmiot ten wydał się bardzo nikłym w jego potężnem, grubem łapsku. Był to właściwie nie pantofelek, lecz płytki trzewiczek z niebieskiej giemzy lakierowanej, wytarty i znoszony. Posiadał rzemyki do przypasywania go na podbiciu, ale dziewczyna tak tylko wkładała w niego nóżkę, nie troszcząc się, jak zazwyczaj, o ład. Jacobus przeniósł oczy z tego trzewika na mnie.

— Siadaj pan, kapitanie — rzekł wreszcie przyciszonym tonem.

Jak gdyby widok tego trzewika odnowił czary nagle porzuciłem myśl niezwłocznego opuszczenia tego domu. Stało się to rzeczą niemożliwą. Usiadłem, wpatrując się w ten rzucający uroki przedmiot. Jacobus obracał w swych poduszkowatych łapach trzewiczek córki na wszystkie strony, jakby szczegółowo badając jego robotę. Przez pewien czas medytował nad cienkością podeszwy, następnie zajrzał do środka i ze skupioną miną rzekł:

— Cieszę się, że pana tu zastałem, kapitanie.

Odpowiedziałem na to czemś w rodzaju chrząknięcia, obserwując go ukradkiem, i po chwili dodałem: — Niewiele już pan będzie miał ze mnie pociechy teraz.

Wciąż jeszcze zgłębiał wnętrze tego trzewika, którego i ja również nie spuszczałem z oczu.

— Czy też myślał pan jeszcze o tym handlu kartoflami, o którym panu w tych dniach wspominałem?

— Nie — odpowiedziałem krótko, podnosząc się z krzesełka. Powstrzymał ten mój ruch surowym, nakazującym gestem ręki, trzymającej ów fatalny trzewik.

Siedziałem więc dalej i patrzałem na niego roziskrzonym wzrokiem. — Wie pan o tem, że ja nie handluję.

— Powinieneś pan, kapitanie. Powinieneś.

Namyślałem się. Jeżelibym opuścił ten dom zaraz, to już nie zobaczyłbym się z dziewczyną. A czułem, że

muszę ją widzieć jeszcze raz i choćby na chwilę. Była to konieczność, przeciw której nanic wszelkie rozumowanie i od której się nie można uchylić. Nie, nie odejdę. Zostanę, aby jeszcze raz zaznać tego dziwnie drażniącego uczucia jakiejś nieokreślonej żądzy, której nałóg sprawił, że mnie — z wszystkich ludzi, mnie właśnie, przejmowała trwoga wobec wyjazdu na morze.

— Panie Jacobus — rzekłem zwolna: — czy pan rzeczywiście sądzi, że wszystko zważywszy i uwzględniając różne fakty — mam na myśli wszelkie fakty rozumie pan? — byłoby rzeczą dle mnie dobrą handlować, powiedzmy z panem?

Przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Wciąż patrzał na trzewik, który teraz zmiął, ścisnąwszy go przez środek, tak że zdartym noskiem i wysokim obcasem wystawał z obu stron jego ciężkiej pięści.

— To będzie całkiem w porządku — rzekł, spojrzawszy mi prosto w twarz nareszcie.

— Jest pan tego pewien?

— Najzupełniej, nie będzie pan miał nic do zarzucenia, kapitanie.

Wyrzekł te swoje utarte frazesy, zwykłym, łagodnie przytłumionym głosem i wytrzymał mój twardy, badawczy wzrok, nawet nie mrugnąwszy powieką.

— A zatem, handlujmy — rzekłem, ustępując. — Zawziął się pan na to, jak widzę.

Nie chciałem jawnego skandalu, lecz pomyślałem,

że zachowanie pozorów przyzwoitości może mnie zczasem drogo kosztować. Powziąłem dla Jacobusa, dla siebie samego i dla wszystkich razem mieszkańców tej wysepki jedno łączne obrzydzenie, tak jak gdybyśmy byli współuczestnikami jakiejś haniebnej ugody. A ów pamiętny mi widok Perły Oceanu z sześćdziesięciomilowej oddali, ta lazurowa, przezrocza wizja na morzu, ten nieziemski, niepokalany cud, wywołany snać magją czystego piękna, zdawał mi się teraz jakąś dreszcze budzącą okropnością. Czyż to był ten mój udział szczęścia — ten miraż wyspy na tle oparów wodnych — to rzadkie zjawisko, które dla mnie w swem twardem sercu zachowała dola i które taiła pod omgloną i jakby z czarodziejskich snów postacią?

Czyż to był ten mój udział szczęścia?

— Ja myślę — odezwał się raptem Jacobus po czemś, co zdawało się być milczeniem brzydkiej zadumy, — że mógłby pan wziąć jakieś trzydzieści tonn. Coś około tego wypadałoby na pański udział, kapitanie.

— Doprawdy? Na mój udział! Z wszelką pewnością mógłbym, ale nie mam na to odpowiedniej sumy.

Nie widziałem go nigdy jeszcze tak ożywionego.

— No! — wykrzyknął z akcentem, który mi się wydał srodze groźnym: — A to szkoda.

Zrobił pauzę, poczem: — Ile pieniędzy masz pan, kapitanie? — zagadnął już wprost z obcesową natarczywością.

Teraz na mnie przyszła kolej spojrzeć mu w oczy

rzetelnie. Uczyniłem to i wymieniłem sumę, którą mógłbym rozporządzać. Widziałem, że był rozczarowany. Rozważał to, utkwiwszy swój kombinatorski wzrok w mych oczach, przez dość długi czas, nim tonem zamyślonym odezwał się z taką drapieżną propozycją:

— Mógłbyś pan wyciągnąć coś więcej ze swych najemców. To łatwo zrobić, kapitanie.

— Nie, nie mógłbym — odfuknąłem: — zapłatę wybrałem do dziś, a zresztą, rachunki okrętowe już zamknięte.

Wściekłość mnie brała. — I powiem panu — ciągnąłem — że gdybym nawet mógł to uczynić, tobym nie chciał. — I nie krępując się już wcale, dorzuciłem: — Pan jesteś już trochę zanadto Jacobusem, panie Jacobus.

Sama intonacja głosu mego była obrażająca; lecz zachował spokój, cokolwiek się tylko zastanowił, jakby coś miarkując; ale ten przebłysk w jego oczach zgasł natychmiast. Niech sobie tam byle jaki szyper mówi, co mu się podoba, to przecież nie może dotykać jego, Jacobusa, chociaż wyrzutka, lecz będącego tu na swoich tubylczych śmieciach. Jako handlarz okrętowy mógł znieść wszelką zniewagę. Wszystko co z jego memłania wyrozumiałem, to było jakieś nieokreślone „całkiem w porządku" — formułka, nad którą nie mogło być, przynajmniej mojem zdaniem, wierutniejszego kłamstwa.

Atoli przypomniałem sobie — raczej ani na chwilę nie zapomniałem, że mam się zobaczyć z dziewczyną.

Nie myślałem odchodzić. Umyśliłem zostać w tym domu dopóty, dopóki jej nie zobaczę raz jeszcze.

— Słuchaj pan — rzekłem nakoniec: — powiem panu, co zrobię. Kupię tych pańskich utrapionych ziemniaków za ile tylko mi wystarczy, pod warunkiem, że pan zaraz teraz udasz się na przystań i zajmiesz się pan ładowaniem ich na galar i niezwłoczną odstawą ich pod okręt. Weź pan z sobą fakturę i podpisany kwit z odbioru. Tu masz pan klucz od mego biurka. Wręczysz go pan Burnsowi. On panu zapłaci.

Wstał z krzesła, nim jeszcze skończyłem mówić, ale wzdragał się wziąć klucz. Burns na to się nie zgodzi. Nie chciałby mu nawet tego proponować.

— Dobrze więc, w takim razie — rzekłem, rzucając nań wzgardliwe spojrzenie — trudno i darmo, panie Jacobus, musisz pan zaczekać na pokładzie aż do mego powrotu i statecznego załatwienia z panem.

— Tak będzie całkiem w porządku, kapitanie. Idę natychmiast.

Zdawał się być zakłopotany, co ma zrobić z trzewiczkiem, który jeszcze wciąż trzymał w garści. Ostatecznie, spojrzawszy na mnie tępo, położył go na krzesełku, z którego się był przed chwilą podniósł.

— A pan, kapitanie? Czy i pan nie poszedłbyś rzucić okiem. — —

— Niech pana o mnie głowa nie boli. Już ja o sobie sam pomyślę.

Był chwilowo stropiony, jakby usiłując zrozumieć;

poczem, niby pod wpływem jakiejś nagłej myśli, rzekł ważko: — Z pewnością, z pewnością, kapitanie. — Szeroka jego pierś wzniosła się i opadła. Byłożby to westchnienie? Czemprędzej wyszedł, aby się zakrzątnąć koło tych ziemniaków, i ani się już na mnie obejrzał.

Czekałem, aż stuk jego kroków ucichnie w jadalni, poczekałem jeszcze dłużej. Następnie zwracając się ku odległym drzwiom, głosem donośnym na całą werandę zawołałem:

— Alicjo!

Nie było odpowiedzi i nawet nic nie poruszyło się za drzwiami. Snać dom Jacobusów opustoszał, abym mógł się w nim czuć jak u siebie. Nie wołałem po raz drugi. Przejęło mnie naraz jakieś ogromne zniechęcenie, jakaś gnębiąca jałowość myśli i moralne przybicie. Odwróciłem się znów do ogrodu i usiadłem, wsparty łokciem na poręczy niskiej balustrady, objąwszy rękami głowę.

Miało się już pod wieczór. Cienie powydłużały się, pogłębiły, zmieszały w jeden stop pomrocza. w którem pełgające barwami grządki kwiatowe podobne były do zgarniętego węglowego żaru; napływały ku mnie duszne wonie, jak gdyby zmierzch na tej półkuli ziemskiej był niczem innem, jak przyćmieniem wnętrza świątyni, ogród zaś — niezmierną kadzielnicą, kołyszącą się przed ołtarzem gwiazd. Barwy kwiecia stawały się coraz ciemniejsze i jedna po drugiej zatracały swoją rozżarzoność.

Na lekki szelest odwróciłem głowę. Dziewczyna wydała mi się jakby wyższa wzrostem i szczuplejsza; zbliżała się, chwiejąc i kulejąc, słaniającym się, nierównym ruchem, który zakończył się tem, że podobna cieniowi jej postać utonęła w głębiach niziutkiego fotelu. I nie wiem, jak i skąd, ale miałem takie wrażenie, jak gdyby przyszła za późno. Winna była ukazać się na moje wołanie. Powinna była...

Stało się coś, że najwyższy, sprzyjający moment jak gdyby przepadł.

Wstałem i przesiadłem się na krzesełko tuż przy niej, nawprost jej fotela. Odrazu przemówiła do mnie swym niechętnym, zawsze pogardliwym tonem:

— Pan jeszcze tu?

Mój głos był cichy.

— Pani przyszła nareszcie.

— Przyszłam po trzewik — nim zapalą światło.

Był to ten jej cierpkawy, usidlający szept, choć teraz jakby poskromiony, niezbyt pewny siebie, lecz jego niska wibracja nie budziła już we mnie dreszczu. Mogłem tylko rozpoznać jej owal twarzy, jej odkrytą szyję, podłużne, bielejące lśnienie oczu. Wygląd jej był dość tajemniczy. Ręce jej leżały na poręczach fotelu. Gdzież jednak było tajemne i podniecające wrażenie, które stanowiło jakby zapach kwiatu jej młodości? Rzekłem spokojnie:

— Pani trzewik ja mam tutaj. — Nie odzywała

się. — Najlepiej, niech mi pani pozwoli, że ja panią obuję sam.

Nie zrobiła żadnego ruchu. Schyliłem się i poomacku odnalazłem jej nogę pod falbankami szlafroczka. Nie cofnęła jej; włożyłem trzewik i pozapinałem rzemyki na podbiciu. Noga była jak martwa. Delikatnie postawiłem ją na ziemi.

— Gdyby pani zapinała te rzemyki, to byłaby pani nie zgubiła trzewika, panno Nie-Dbam — rzekłem, podżartowując bez przekonania. Czułem w sobie, jakby płacz nad utraconą złudą nieokreślonego pragnienia, nad powziętem nagle przeświadczeniem, że już niezaznam przy niej tego dziwnego, napół wrogiego, napół tkliwego uczucia, które nadawało ostry posmak tylu moim dniom i które przyblekało ją w pozór tragiczny i obiecujący, żałosny i wyzywający. To wszystko już się skończyło.

— Podniósł go pani ojciec — rzekłem, sądząc, że i jej również o tym fakcie można powiedzieć.

— Ja nie boję się papy — samego — oświadczyła pogardliwie.

— Ach, to tylko łączność jego ze wspólnikami o złej reputacji, z cudzoziemcami, z „europejskim motłochem", jak mówi zachwycająca pani ciotka czy praciotka — z ludźmi takimi, jak ja, naprzykład — to sprawia, że pani — —

— Ja pana się nie boję — odfuknęła.

— Bo pani nie wie, że ja z pani ojcem robię in-

teres. Tak, rzeczywiście robię to, co on mi robić każe. Złamałem obietnicę względem pani. Oto jaki ze mnie człowiek. Czy i teraz pani się mnie nie boi? Wierząc słowom tej kochanej, miłej, starej ciotki, powinnaby pani.

Niespodzianie nastrojonym czułością głosem zapewniła:

— Nie, nie boję się. — Z wahaniem... — Teraz już nie.

— Doskonale. Niema potrzeby. Więcej się już z panią przed wyjazdem nie zobaczę. — Wstałem i przysunąłem się do fotelu: — Będę jednak często myślał o tem, jak pani przechadza się tam, pod drzewami, jak spaceruje wśród tych pysznych grządek kwiatowych. Musi pani kochać ten ogród. — —

— Ja nic nie kocham.

W jej zadąsanym tonie posłyszałem jakby mdłe echo owej rozżalonej, tragicznej nuty, która dźwięczała mi dawniej tak pobudzająco. Nie wzruszyła mnie, wywołała tylko nagłe i nudne przeświadczenie o znikomości wszystkiego pod słońcem.

— Bądź zdrowa, Alicjo — rzekłem.

Nie odpowiedziała, nie poruszyła się. Wziąć ją za rękę, potrząsnąć i odejść tak — wydawało mi się rzeczą niemożliwą, prawie nieprzyzwoitą. Nachyliłem się, nie śpiesząc, i przycisnąłem wargi do jej rozpalonego czoła. I to był moment, w którym z pewnego rodzaju przerażeniem jasno zdałem sobie sprawę z mojego

zupełnego oderwania się od tej nieszczęsnej istoty. I gdym tak, ociągając się, trwał w tej bezlitosnej samowiedzy, uczułem lekki dotyk jej omdlałych ramion, spadających mi na kark i otrzymałem jej niezgrabny w pośpiechu, na chybi-trafi, pocałunek, który rozminął się z mojemi ustami. Nie! Nie obawiała się, ale mnie to już nie wzruszało. Jej bezwładne ramiona ześlizgnęły mi się z karku. Nie odzywała się nic, głęboki fotel lekko zatrzeszczał. Gdyby nie zapobiegawcza myśl o utrzymaniu powagi, byłbym uciekł na łeb na szyję od tych katastrofalnych objawów.

Zwolna przechodziłem przez pokój stołowy. I myślałem: wsłuchuje się w stuk moich kroków... nie może ich zatrzymać... usłyszy, jak otwieram i zamykam te drzwi... A zamknąłem je za sobą tak cichutko, jak złodziej wycofujący się ze źle nabytym łupem. Podczas tego wykradania się uczułem ostatnie drgnienie emocji w tym domu na myśl, żem pozostawił siedzącą tam pociemku dziewczynę o bujnych włosach i próżnych oczach, tak czarnych, jak sama noc — dziewczynę, wpatrzoną w ogród zamknięty murem, milczący, pełen żaru i zapachu więzionych kwiatów, których, tak jak i jej, nie ogląda świat, pogrzebany w ciemnościach.

W wąskich, źle oświetlonych, tak dobrze mi znanych po drodze do przystani zaułkach było nadzwyczaj cicho. Głos wewnętrzny mi szeptał, że im dalej się człowiek zaawanturuje w życiu, tem łatwiej zrozumie

pospolitość wszechrzeczy, ich przelotność i nicość i że właśnie w pogoni za nieznaną jakąś sensacją przekonywujemy się, jak marne bywają nasze zamierzenia i jak rychło unicestwiane!

Przewoźnik Jacobusa oczekiwał mnie na przystani, z miną niezwykle służbistą. Podwiózł mnie pod okręt, lecz nie zwracał się do mnie z poufałem: „Dobry wieczór, psze-pana", i zamiast odbić łódkę natychmiast, pozostał jeszcze u schodków.

Byłem o tysiąc mil od spraw handlowych, gdy w mrocznym kasztelu Burns literalnie rzucił się na mnie i coś w podnieceniu bełkotał. Oczekiwał mego przybycia z godziny na godzinę, zniecierpliwiony, chodząc po pokładzie tam i z powrotem. Właśnie przed zachodem słońca przybił do okrętu galar z ładunkiem ziemniaków i z tym tłustym handlarzem okrętowym, we własnej osobie, siedzącej na stosie worków. Teraz utknął w kajucie. Co to wszystko ma znaczyć? — Doprawdy, nie ja — —

— Tak panie Burns, to ja — przerwałem mu krótko. Jego rozpaczliwą gestykulację zahamowałem również, wetknąwszy mu w rękę klucz od biurka z kategorycznem, nie znoszącem sprzeciwu żądaniem, aby natychmiast zeszedł na dół, zapłacił rachunek Jacobusowi i żeby zaraz go odprawił.

— Nie chcę się z nim widzieć — oznajmiłem szczerze, wstępując po drabinie rufy. Zdjęło mnie ogromne zmęczenie. Padłem w jakieś krzesło na galeryjce i odda-

łem się leniwemu zapatrzeniu na latarnie wybrzeża i na bryłowatą masę góry w południowej stronie portu. Nie słyszałem, jak Jacobus opuszczał okręt z całą moją w kieszeni gotówką, do ostatniego suwerena. Nie słyszałem nic przez długi czas, dopóki nie zmącił mi spokoju Burns, który, nie mogąc już wytrzymać, przylazł do mnie ze swojemi śmiesznie gniewnemi ubolewaniami nad moim charakterem dobrym i słabym.

— Miejsca, oczywiście, jest przy rufowej luce aż nadto. Ale tam z pewnością mogą zgnić. Otóż to! Niesłychana rzecz... siedmdziesiąt tonn! Przypuszczalnie jutro z samego rana muszę, przedewszystkiem wwindować tę partję.

— Przypuszczalnie, że pan musisz. O ile pan nie wyrzucisz jej za burtę. Obawiam się jednak, że pan nie będziesz mógł tego zrobić. Ja sam nie mam nic przeciwko temu, ale, jak pan wiesz, nie wolno w przystani wyrzucać śmiecia.

— To jest najprawdziwsze słowo, które pan od tylu dni wypowiedział, proszę pana — śmiecie. Spodziewam się, że to nie jest nic innego. Prawie ośmdziesiąt złotych suwerenów jak w błoto rzucił; szufladka pańska wypróżniona czyściutko, proszę pana. Niech mnie djabli, jeżeli co rozumiem!

Ponieważ nie mogłem mu tej handlowej tranzakcji należycie wyświetlić, pozwoliłem mu biadać i mieć o mnie pojęcie, jako o beznadziejnym szaleńcu. Nazajutrz nie ruszyłem się na brzeg. Raz, że nie miałem

pieniędzy — bodaj na kupno jednego papierosa. Jacobus wyprzątnął mi kieszeń na czysto. Ale główny powód leżał nie w tem. Perła Oceanu przez ten króciuchny czas paru godzin obrzydła mi. I nie chciałem się z nikim spotykać. Straciłem dobrą opinę. Wiedziałem, że jestem tam przedmiotem nieżyczliwych nicowań i drwiących komentarzy.

Nazajutrz, skoro świt, gdy nas spuszczono z uwięzi cumowej i gdy holownik wyczochrał nas z pośród buj, zobaczyłem Jacobusa, stojącego w swem czółnie. Murzyn wiosłował ciężko. Między poprzecznemi ławkami stało mnóstwo koszów z okrętowym prowjantem. Ojciec Alicji sprawował swój objazd poranny. Wyglądał na człowieka spokojnego i życzliwego. Machał ręką i coś przyjaźnie wykrzykiwał. Ale głos jego był niedalekonośnej mocy. Zaledwie pochwyciłem lub raczej zgadłem wyrazy: „w najbliższym czasie" i „całkiem w porządku". Pewność miałem tylko co do ostatniego. Za całą odpowiedź podniosłem rękę od niechcenia i odwróciłem się. Ta jego poufałość wydała mi się rodzajem zniewagi. Albożnie załatwiłem z nim rachunku ostatecznie kupnem ziemniaków?

Ponieważ to jest nowela portowa, nie zamierzam opowiadać o naszej podróży. Cieszyłem się dość, żem już na morzu, ale to nie była uciecha dni minionych. Przedtem nie miewałem do zabrania z sobą żadnych wspomnień. Dzieliłem błogosławioną niepomność żeglarzy, tę wrodzoną odporność zapomnienia, podobną

do niewinności tak dalece, że zapobiega wszelkim samoanalizom. Teraz, bądź co bądź, miałem na wspomnieniu tę dziewczynę. Przez jakieś parę dni wciąż badałem samego siebie do natury faktów i uczuć, związanych z jej osobą i z mojem postępowaniem.

Muszę też nadmienić, że nieznośne gderanie Burnsa z powodu tych ziemniaków nie było obliczone na to, ażebym mógł zapomnieć o odegranej przeze mnie roli. Zapatrywał się na nie z punktu czysto handlowej sprawy z gatunku wyjątkowo najgłupszych i przywiązanie jego do mnie — o ile to przywiązanie nie było zalewaniem mi sadła za skórę, jak to przywykłem był uważać — natchnęło go do gorliwych zabiegów w celu możliwego zmniejszenia mej straty.

O, tak! Rozwinął on nad temi haniebnemi ziemniakami taką pieczołowitość, że niech go licho!

Nad rufową luką nieustanna była koło nich robota, nieustannie warta wywlekała pewną ilość tej ładugi na pokład, rozsypywała ją, przebierała, przeworkowywała i znów spuszczała nadół. Moje kupno wraz ze wszystkiemi z niem skojarzonemi wspomnieniami — ten ogród kwiatów i zapachów, ta dziewczyna ze swoją prowokującą wzgardą i z swojem tragicznem osamotnieniem istoty wyklętej i rzuconej bezradnie — to wszystko tańczyło mi przed oczyma bezustanku, czepiało się mnie w tysiącznej mili otwartego morza. I jak gdyby przez jakąś wyrafinowaną, szatańską ironię, towarzyszył temu najstraszliwszy odór. Wyziew gniją-

cych ziemniaków prześladował mnie na najwyższym pomoście, był domieszką moich myśli, mojego pożywienia, zatruwał moje sny. Okręt otoczyła atmosfera rozkładu.

Wymawiałem Burnsowi tę zbytnią pieczołowitość, byłbym rad zasklepić lukę, i niechby tam sobie gniły pod pokładem.

Może byłaby to rzecz niebezpieczna. Wydzielający się straszny zaduch mógłby przesycić złą wonią ładunek cukru. Była tak silna, że przenikała, zda się, w żelastwo. Nadobitkę Burns zrobił z tego swoją sprawę osobistą. Zapewniał mnie o swojej umiejętności obchodzenia się z ładunkiem ziemniaków na morzu, twierdząc, że zajmował się tym handlem od małego chłopca. Przypuszczał, że doprowadził moją stratę do minimum. Jużto przez wzgląd na jego przywiązanie — może to i było przywiązanie — jużto dla jego próżności, dosyć, że poprostu nie śmiałem mu powiedzieć, ażeby owoc mej przypadkowej spekulacji handlowej wyrzucił za burtę. Jestem przekonany, że wręczby odmówił mojemu legalnemu rozkazowi. Wytworzyłaby się niebywale komiczna sytuacja, której nie czułem się na siłach rozstrzygać.

Zepsucie się pogody przywitałem z taką radością, jak chyba jeszcze żaden w świecie marynarz. Gdy wreszcie obróciłem okręt pod hyz, ażeby zjechać się z pilotem dla przeprawy u Portu Filipa, więcej niż tydzień nie otwierano rufowej luki i mogło mi się

zdawać, że nigdy taka rzecz, jak kartofel, na pokładzie nie postała.

Był to szkaradny dzień, ostry, dokuczliwy, z gwałtownem natarciem wichury i deszczu. Pilot, rześki osobnik, doglądał okrętu i gawędził ze mną, ociekając strumieniami wody. Im silniej chlusnęło weń ulewą, tem więcej zdawał się być zadowolonym z siebie i z wszelkiej otaczającej go rzeczy. Zacierał mokre ręce z ukontentowaniem, którego ja, wytrzymawszy sam kilka dni i nocy podobnych, nie mogłem pojąć w tej zgoła niewodnej istocie.

— Panu, zdaje się, sprawia przyjemność być zmoczonym, panie pilocie — zauważyłem.

Posiadał kawałek ziemi koło domu za miastem i właśnie myślał o swoim ogrodzie. Na dźwięk tego wyrazu „ogród", nie słyszanego, nie wymówionego przez tyle dni, ujrzałem w widzeniu przepych kolorów, słodycz zapachów i postać skurczonego w fotelu dziewczęcia. Tak. Znacznie mnie to wzruszyło, wtargnąwszy w mój spokój zapomnienia, które znalazłem w bezsennych troskach w ciągu tego niebezpiecznego tygodnia burzliwej pogody i ciążącej na mnie odpowiedzialności. Kolonja, objaśnił pilot, cierpiała na bezprzykładną suszę. To była pierwsza jaka taka kropla wody, która spadła na nią po siedmiu miesiącach. Jarzyny zginęły. I przypadkowo niby, lecz z widocznem zainteresowaniem, spytał mnie, czy nie miałbym czasami jakiego zapasu ziemniaków.

Ziemniaków! Zdołałem już o nich zapomnieć. W jednej chwili uczułem, że pogrążam się w zepsuciu po szyję.

Burns za plecami pilota mrugał ku mnie znacząco. Otrzymał wkońcu jednę tonnę i zapłacił za nią dziesięć funtów. Ocknęła się we mnie żyłka chciwości. Tej nocy, w porcie, zanim usnąłem, podpłynęła pod okręt boryna komory celnej. Podczas gdy niżsi funkcjonarjusze opieczętowali skład towarów, starszy urzędnik dyżurny wziął mnie na stronę i rzekł poufnie:

— Słuchajno pan, kapitanie, czy nie masz pan czasem do sprzedania kartofli?

Jasna rzecz, że w tym kraju zapanował głód kartoflany. Odstąpiłem mu tonnę za dwanaście funtów i odszedł uradowany. Tej nocy śnił mi się stos złota w kształcie mogiły, w której pochowana była dziewczyna i obudziłem się z żarłocznem łakomstwem na pieniądze. Gdym zaszedł do mego okrętowego maklera, człowiek ten, po załatwieniu ze mną spraw urzędowych, zsunął okulary na czoło.

— Pomyślałem sobie, kapitanie, że wracając z Perły Oceanu, musisz pan mieć do sprzedania ziemniaki.

Rzekłem niedbale: — A, tak, mam na zbycie tonnę. Pięćdziesiąt funtów.

— Ho, ho! — zawołał. Lecz po chwilowem przypatrzeniu się mojej twarzy skrzywił się zlekka i przyjął moje warunki. Zdawało się że ci ludzie nie mogą istnieć bez ziemniaków. Ja mogłem. Nie chciałbym

widzieć na oczy ani jednego kartofla dopóki żyję; lecz opanował mnie demon zysku. Nie wiem jak się rozeszła wieść o kartoflach, ale gdym powrócił na okręt już późnawo, ujrzałem gromadkę ludzi o wyglądzie sklepikarskim, zawalającą średni pokład; Burns przechadzał się tam i sam i poglądał na nich z miną wyniosłą i triumfującą. Przyszli kupować ziemniaki.

— Ta hałastra — szepnął mi na ucho — czeka tu, prażąc się w słońcu, już od kilku godzin. Wypili całą stągiew do dna. Nie powinien pan odrzucać tej okazji, panie. Pan ma za dobre serce.

Dla pertraktacyj wybrałem jednego człowieka o grubych łydkach i jednego o drgawce w oku, ponieważ można ich było odróżnić od reszty.

— Czy macie z sobą pieniądze? — Spytałem, nim zabrałem ich do kajuty nadół.

— Tak, proszę pana — odrzekli jednogłośnie, klepiąc się po kieszeniach.

Ten gest ich stanowczego zdecydowania bardzo mi się podobał. Na długo przed upływem tego dnia wszystkie ziemniaki były sprzedane po cenie trzy razy większej niż ta, którą ja zapłaciłem. Burns, rozgorączkowany i radosny, winszował sobie umiejętnych zabiegów, tyczących się mojej spekulacji handlowej, ale nie omieszkał nadmienić uszczypliwie, że powinienem był zarobić na tem więcej.

Nie spało mi się zbyt dobrze tej nocy. Myślałem o Jacobusie dorywczo, w raptownych rzutach, pomiędzy

jednem a drugiem zerwaniem się ze snów, mających związek z rozbitkami, porzuconymi na pustynnej wyspie, zarośniętej kwieciem. Bardzo mi było nieprzyjemnie. Rankiem, zmęczony i niewywczasowany, siadłem i napisałem długi list do moich armatorów, przedkładając im szczegółowo obmyślany projekt użytkowania okrętów na Wschodzie — i po morzach Chińskich na okres najbliższych dwu lat. Praca ta zajęła mi dzień i gdym ją skończył, cokolwiek się uspokoiłem.

Odpowiedź nadeszła w zwykłym trybie. Mój pomysł ogromnie ich zastanowił; lecz zważywszy, że pomimo opłakanej trudności z workami (której, ufają, na przyszłość będę umiał zapobiec), podróż wykazała znaczny dochód, mniemają, iż byłoby lepiej zatrzymać okręt w cukrowej branży — przynajmniej obecnie.

Odwróciwszy następną stronicę, czytałem:

„Otrzymaliśmy pismo naszego dobrego przyjaciela, pana Jacobusa. Miło nam jest widzieć Pańskie ścisłe z nim porozumienie; albowiem, nie mówiąc o jego pomocy w tej nieszczęsnej sprawie worków, pisze nam, że o ileby pan, przy zastosowaniu możliwego pośpiechu, zdołał powrócić z okrętem w porze właściwej, to on mógłby nam zapewnić korzystną stopę frachtową. Nie wątpimy, że pan dołoży starań... .etc... etc..."

Upuściłem z rąk list i długo siedziałem bez ruchu.

Potem napisałem odpowiedź (była krótka) i udałem się sam na wybrzeże, by ją wysłać. Lecz przeszedłem obok jednej skrzynki pocztowej, następnie obok drugiej i skończyło się na tem, żem szedł ulicą Collinsa, mając list jeszcze w kieszeni — wbrew swoim chęciom. Ulica Collinsa o godzinie czwartej popołudniu niekoniecznie bywa osamotnionem pustkowiem; ale nigdym nie czuł większego odosobnienia od reszty ludzkości, jak w tym dniu, idąc po pełnym ludzi bruku, walcząc rozpaczliwie ze swemi myślami i uznając się prawie za zwyciężonego.

Nastał moment, w którym straszliwa wytrwałość Jacobusa, człowieka o jednej namiętności i o jednej myśli, wydała mi się nieomal heroiczną. Nie zdradził mnie. Znów porozumiewa się z tym nienawistnym bratem. A przeto wydał mi się nienawistny i sam. Czy zrobił to dla miłości własnej, czy dla miłości tego biednego dziewczęcia? To ostatnie przypuszczenie przypomniało mi ów pocałunek, który rozminął się z memi ustami, i zdjęła mnie trwoga, lecz przekładałem sobie, że cokolwiek bądź ojciec zobaczył, odgadł lub ważył się domyślać, to o tym pocałunku nie mógł nic wiedzieć. O ile ona sama tego mu nie powiedziała. Byłoż mi teraz wracać i rozdmuchiwać tę fatalną iskierkę zimnym oddechem! Nie, nie, ten nieoczekiwany pocałunek trzeba okupić całą jego wartością.

Podszedłem do pierwszej skrzynki pocztowej, stanąłem i, sięgnąwszy do kieszeni na sercu, wyjąłem

list — jak gdybym wyszarpnął z siebie samo serce — i wrzuciłem w otwór. Poczem udałem się wprost na pokład.

Ciekaw byłem, jakie też będą dziś sny moje; lecz zdarzyło się że wcale nie spałem. Przy śniadaniu zawiadomiłem Burnsa, żem się zrzekł komendy.

Puścił nóż i widelec, i spojrzał na mnie z oburzeniem.

— I pan to uczynił, proszę pana! Myślałem, że pan kocha okręt.

— Jak jest, Burnsie, kocham. Ale ocean Indyjski i wszystko, cokolwiek się na nim znajduje, straciło dla mnie urok. Wracam do domu, jako zwykły pasażer, przez kanał Sueski.

— Wszystko, cokolwiek się na nim znajduje — powtórzył z gniewem. — Nigdym nie słyszał, żeby ktoś tak mówił. I jeżeli mam wyznać prawdę, to proszę, pana, przez cały ten czas, kiedy byliśmy razem, nigdy nie mogłem pana zrozumieć w zupełności. Czemże jest lepszy jeden ocean od drugiego? Urok?... Rzeczywiście!

Był do mnie może i naprawdę przywiązany. Ale rozweselił się nawet, skorom mu oznajmił, że poleciłem go na swego następcę.

— Bądź co bądź — zauważył, — niech mówią co chcą, ale ten — Jacobus przydał się panu. Muszę zaznaczyć, że ten kartoflany interes nadzwyczaj się opłaca. Oczywiście, gdyby tylko pan miał — —

— Tak, panie Burns — przerwałem. — Naprawdę — uśmiech szczęścia.

Ale nie mogłem mu powiedzieć, że ten uśmiech wypędza mnie z okrętu, który ukochałem. I gdym tak siedział ze ściśniętem sercem wobec tego rozstania, widząc wszystkie moje plany zwichnięte, moją skromną przyszłość zagrożoną — ponieważ komendatura dla młodego człowieka to jakby noga w strzemieniu — zrezygnował po raz pierwszy ze swego krytycznego stanowiska najzupełniej.

— Co za nadzwyczajne szczęście — wyrzekł.

Finito di stampare il 17 giugno 1946, Presso le Arti Grafiche Onorati, Roma via Sforza Pallavicini 12-14 Tel. 51.024